
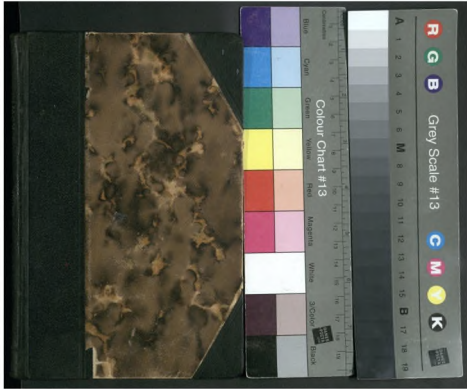


<p>Logotyp</p> 	<p>Nazwa instytucji</p> <p>Muzeum Ustrońskie</p>	
<p>Tytuł jednostki / publikacji / fotografii</p> <p>„Szkoła na Pustkowiu. Powieść ze Śląska Cieszyńskiego”</p>		
<p>Ilość stron oryginału</p> <p>124</p>	<p>Ilość skanów</p> <p>125</p>	<p>Liczba plików publikacji</p> <p>124</p>
<p>Autor</p> <p>Walenty Krząszcz</p>	<p>Wydawnictwo / zakład fotograficzny</p> <p>„Dziedzictwo bł. Jana Sarkandra dla</p>	<p>Skan okładki</p> 
<p>Miejsce wydania</p> <p>Cieszyn</p>	<p>Rok wydania / Data powstania</p> <p>1920</p>	
<p>Sygnatura</p> <p>---</p>	<p>Rodzaj zasobu (np. zdjęcie, czasopismo itp.)</p> <p>książka</p>	
<p>Wymiary (wys x szer)</p> <p>18,7 x 12,5 cm</p>	<p>Stan zachowania</p> <p>---</p>	<p>Charakterystyka skanowanego obiektu</p> <p>powieść Walentego Krząszcza (1886-1959), polskiego pisarza i nauczyciela, urodzonego w Górkach Wielkich; opisuje wieś na Śląsku Cieszyńskim z przełomu XIX i XX w. oraz obyczaje ludowe</p>
<p>Hasła przedmiotowe (okres historyczny, postacie, miejsce)</p> <p>przełom XIX i XX w., 1920 r., Walenty Krząszcz, cesarz Karol VI, cesarzowa Maria Teresa, Śląsk Cieszyński, Austro-Węgry, Beskidy, Rudzica, Trzyniec, Łysa Góra, Jaworowy</p>		
<p>Hasła tematyczne (np. miasto, przemysł, kuznia, letnicy itp.)</p> <p>szkolnictwo ludowe, oświata, wieś cieszyńska, zwyczaje, lokalna codzienność ludu Śląska Cieszyńskiego, gawędy regionalne, polscy prozaicy, powieść cieszyńska, folklor Śląska Cieszyńskiego, gwara cieszyńska, obyczajowość wiejska z przełomu XIX i XX w., środowisko ludowo-regionalne</p>		
<p>Prawa autorskie</p> <p>---</p>		

R**G****B**

Grey Scale #13

C**M****Y****K**DANES
-PICTA
.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Inches

1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Colour Chart #13

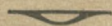
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

DANES
-PICTA
.COM

NIE NISZCZYĆ KSIĄŻEK

WALENTY KRZĄSZCZ.

Szkoła na Pustkowie.



Powieść ze Śląska Cieszyńskiego.



CIESZYN.

DRUKIEM I NAKŁADEM »DZIEDZICTWA BŁ. JANA
SARKANDRA DLA LUDU POLSKIEGO NA ŚLĄSKU».

1920.



L

W drodze na nowy posterunek.

Wyjechali na szczyt pierwszego wzgórza, minęli jeszcze mały, cienisty lasek jodłowy, tu ujrzeli przed sobą nową okolicę, rozpościerającą się het aż tam pod same jasno-lazurowe grzbiety Beskidów, mieniające się w złocistych promieniach przedjesiennego słońka, które już poniekąd poczyniło nieznacznie ubarwiać przyrodę w mozaikę różowo-purpurowych kolorów.

— A teraz się, panie rehtór, dobrze podziwiają na prawo, widzą? — mówił stary furman Gaszczyk, pokazując z przymrużonemi oczyma końcem biczyska na słoneczne pola.

— Co tam znów macie? — zapytał młody nauczyciel, spoglądając ciekawie w oznaczoną stronę.

— A tóż, jako im prawie, co to tam łono pod lasem stoi ta hrozno kupa zwałonego skolo, widzą już to?

— Widzę!

— Tóż to tam nazywomy na starą piłę, choć tam dziśka już żoden nic nie rzeże, chyba że w nocy duch nieboszczyka Pilicha jeszcze piłuje i siekierą wali o majland. Samżech przeca słyszoł!

— Co wy zaś bajacie! — zdumiewał się nauczyciel.

— Doli Bóg! — przysięgał wymowny starzec, wyjmując fajkę z ust i podnosząc ją do góry, niby dwa palce przed krzyżem. — Stary se tam rzeże koło północy te trómy, co kiesikej niesprawiedliwie wycyganil na chłopach.

— Jakże to było?

— A taki! — splunął Gaszczyk, śmignawszy biczem konie i począł raz po raz fajkę zapalać.

— No to zapalcie już raz a gadajcie!

— Dyc pocz-ka-ja! — pykał stary, mlaskając wargami. — Toż ten Pilich, on miał Maryne po starej niebodze Szypulce z Woleństwie, co to po jeji śmierci tysiąc reńskich jako herbowizny w kopce ziemioków schowane naszli...

— Nale, nale! — dziwił się nauczyciel, kręcąc głową.

— Nie przerywają mi! Nie było im bogocza w okolicy nad niego, katać też tam! Miał piłę, gospode, grunt i kęs lasu. Ale im też marcha — że už tam je przed Bogiem — drzył, drzył, Kryste Panie! Przywiózłeś na piłę dwacet trómów, to najmieni dwa se już potrzymoł. A sknera też był, zawiśnik, odzieracz, a miał jeny jednego syna. Jako stary majątek nabył, tak go synalek pozbył. Ledwo stary poszeł na wymowe, a synka puścił na fraj, toście sie mieli dziwać, co sie z bogactwem robiło. Od rana do wieczora se piło, jadło, hałdamaszowało, balowało z kamratami, aż sie wszystko przefujało i eszcze starego fantownicy z wymowy wyciśli. Synalek kańsik zderzył w świat, a stary chodził po żebraniu, aż rok temu naszli go utopionego tam w młynie pod piłą. Piła potem zgorzała i już ji nie odbudowali. Dziśka jeny te zwaliska se tam leżą a stary Pilich po nocach obchodzi i straszty.

Na chwilę umilkł, potakując głową. A potem wskazawszy w lewo na rozległy ugór, zapytał:

A to tam ten przyłóg, wiedzą, jak se nazywo?

— Gdzieżby tam!

— A, ja, rychtyk, dyć to oni tu są pierszy roz w życiu. To nazywomy na kierchówek. Tu kiesikej chowali mozgoli, jako szli przez Śląsko na rebeliantów do Uher. Roznimógło sie to na kolere, kapało jak muchy i miejscami jak baji tu to ich kupami chowali: Tak kole północy bych im też nie radził sie tu bardzo kręcić. Myrdaczowego Jozefa tu zadusiło. Doli Bóg!

— A co znaczą te dwa krzyże, tak blisko obok siebie stojące? — pytał nauczyciel.

— Aha, to też nie wiedzą! To było taki: Kaj te krzyże stoją, była kiesikej hrozno lipa, pore siąg hrubo, a stoła prawie na granicy dwóch siedlacznych gruntów. O te lipie sądzili sie całe roki gazdowie tych gruntów, a roz, w Boże Ciało, podczas nabożeństwa, to sie ci gazdowie pod tą lipą strasznie przezywali, a baji sie chycili bijatyki. A tu naroz z chmury uderzyło do lipy i obóch na fleku zabiło. Lipie ścieli, a na pamiątke i drugim na przestroge obo nowi gazdowie, synowie zabitych, postavili krzyże. Ci młodzi żyją w przykładnej zgodzie teraz.

— A to wy tu co krok macie jakieś pamiętne miejsca — dziwił się nauczyciel.

— No, co se myślą, panie rehtór! — odparł stary z pewną dumą. Ale poczkają, jak wyjademy teraz na ten drugi kopiec, to dziepro uwidzą daleko w świat. Wjo se bramki, hi! — pognął szkapiny pod górę, żeby jak najprędzej stanąć na szczycie. Wózek drabiniasty trzeszczał, podskakiwał z wybojów, że nauczyciel częściej niespokojnie oglądał się poza siebie na swe graty, usadzone w sianie między drabinami.

— Ni mają strachu, nic sie meblom nie stanie. Aji ten klajwierz bee lepszy groń, jak sie tak wydyrbie po kamieniach — uspakajał Gaszczyk, widząc zakłopotaną minę nauczyciela.

Minęli właśnie rumowisko, gęsto chwastami zarośnięte, znaczące miejsce dawnej piły. Kilka

wysokich świerków osłaniało to smętne miejsce ponurym zmrokiem. Minęli i te dwa zczerniałe, mchem porośłe krzyże, na których rozpięte były figury z zardzewiałej blachy, a obok nich widniał szeroki pniak, napół zgniły, trawą i zielskiem zarosnięty. Na »kierchówku« siedział jakiś zgrzybiały staruszek, łachmanami okryty, a obok niego leżało chude, kudłate psisko z wywalonym ozorem, niby owe widmo z północy, o którym wspomniał furman.

Stanęli wreszcie na drugim kopcu i rzeczywiście przed ich zachwyconemi oczyma roztoczył się od razu cudny widok. Jak daleko okiem sięgnąć, lśniła się czarowna scenerya pagórkowatej okolicy. Laski, odbijające się ciemno na tle słoneczno-niebieskich pól, błyszczące rzeczulki, niby srebrne wstęgi, oplatające łąny i sady, z lekka zabarwiające się gaje, smaragdowe łączki w nizinach, wszystką to mieniło się w tem lubym słoneczku, drgało w ogrzanej atmosferze, a ponadtem zawisła taka urocza, kojąca cisza, takie jakieś serdeczne, napół smętne zadumanie, zwiastujące rychłe powszechne zamieranie przyrody przed szarą jesienią.

Tu i ówdzie pracował lud w polu. Tam na rozległych łąkach pańskich uwijała się cała rzesza pańszchorzy w pstrych ubiorach, około ostatniego sianozbioru. Kobiety uganiały się z grabiami, mężczyźni stawiali stogi.

— Ho — ho — ho! — ozwało się niekiedy przeciągle od strony łąki. — A podejcie mi tu ze dwie orstwie!

— Hanulaaa! A śpiechej sie z grabieniem, nie chybej tela oczami za Franckiem.

— Hej, ludzie, słyszycie? — krzyczał ktoś z przeciwnej strony — a dyć sie jeny dziwejcie, co to jedzie hanej po dródze. Parcie, co to za kumedyj wiezie stary Gaszczyk na wozie!

— Cicho tam — lajał sprawca, przechadzający się z kryką. — Dyc' to isto jedzie ten nowy rechtór! Nie dziwejcie sie, bo go urzekniecie niemrawy!

Mimo tego wszyscy, oparłszy się o grabie lub orstwie, zagapili się na jadących z szeroko rozwartemi ustami.

— Jo wiem, co to je ten dziwoląg w sianie! — rzekł Margieta.

— A cóżby to było? — zapytała stara Maryna. Isto jakisikej pudło na szróty.

— Lebo fach na owies.

— Ani fach, ani pudło — objaśniał młody Margieta. — To je klajwierz, jaki i mój major miał, coch przy nim we wojsku służył.

— Nale dziwejcie sie! Klajwierz! I to taki, co gro!

— Boże pomóż! — pozdrowił Gaszczyk.

— Dej Panie Boże! — odpowiedział sprawca z głębokim ukłonem. A kiedy minęli łąkę z »pańszczorzami«, począł znów Gaszczyk dokładnie opisywać okolicę.

— Hanej, kaj ten kościół daleko na kopcu widać, to je Rudzica. Tam, jako sie kurzy, widać — to tam je Trzyniec. Kapke w prawo widać już wanielicki kościół w Cieszynie na Wyżni Bronie. Dziwają sie w lewo. Ta nejwyższo góra ponad tą trześnią to je Jaworowy, dali widać Łysą Górę. Za nami, nad jejich czopką, je Czantorya. Tam ten stow, jako ten losok je, należy do zómku a tam w dole, jako sie naszo dróga kręci, stoi gospoda u Bachraka. Tam w tej gospodzie zawsze furmani popasują — dodał z pewnym akcentem, ażeby go nauczyciel należycie zrozumiał.

— Dobrze, dobrze — przerwał mu tenże. — I my możemy na chwileczkę do gospody wejść.

— Ale jo ich nie namowom, Boże opar! — usprawiedliwiał się stary filut. — Jako chcą.

Niebawem zajechali pod bramę starej, odra-panej gospody. W podsieniu, opartem na czterech filarach, okazała się przygarbiona postać podstarzałego żydka z potężnym rudem wąsem i roz-zochranymi faworytami. Począł się przybyłym nisko kłaniać, zdejmując pokornie zieloną, za-tłuszczoną jarmułkę.

— I to pewnie sam pan rektor — zawołał z zachwyconym uśmiechem. — Jak to pięknie, że wielmożny pan rektor raczył nadewszystko sta-rego Bachraka wizytą zaszczycić, aj aj, proszę tylko dalej do ekstracyrnry.

Uchwycił obiema dłońmi prawicę nauczycie-la i posadził go w rogu za stołem, nakrytym czer-wonym obrusem.

Bo też to do mnie wszyscy panowie rektorzy z okolicy częściej zagląдают — mówił, sta-wiając dwa kufle piwa przed gośćmi. — Jest jaki bal, jakie wesele albo wycieczka u Bachra-ka, to przyjdą nauczyciele, ferwalterzy, feszterzy i moc państwa bai z miasta. Wiedzą oni, że u Bachraka zawsze świeże piwko albo to winko fajne. Myślę, że i pan rektor nie pogardzą moją gospodą.

Nauczyciel rozglądał się ciekawie po izbie. Na ścianach, zielono malowanych, wisiały obra-zy w złocistych ramach, przedstawiające sceny z życia myśliwskiego. Na przedniem miejscu wi-siał duży obraz z wizerunkiem cesarza, z sufitu zwisała pokaźna wcale lampa z lustrem, w oknach chwiały się ponsowe firanki a nad szynkfasem śpiewał w klatce kanarek. Z poza drzwi, prowa-dzących do kuchni, zaglądały jakieś ciekawe ży-dówki z szeroko rozwartemi, czarnemi jak wę-giel oczyma.

Stary Gaszczyk, trzymając kapelusz w ręce, jak to na gościa w ekstracyrnrze przystało, po-ciągał piwko, głaszcząc siwe włosy na skroniach.

a częściej spoglądał przez okno na szkapy, czy też stoją spokojnie na miejscu.

Ale tu przypędziło skądś licho bicyklistę, konie się spłoszyły, postronkami gwałtownie szarpnęły i nuże samowolnie w nogi.

— Kryste Panie! — krzyknął Gaszczyk i skoczył jak oparzony ku drzwiom. — Hop, bramki, prrrrr, stójcie, stój! — wołał drżącym głosem za końmi, pędząc z gołą głową za wozem. Także i nauczyciel drżył zdyszany drogą, za nauczycielem zaś tyrckała żydowina, lamentując:

— Aj waj, żeby jeno jaki »Unglück« się nie stał! O Jehowa, Jehowa!

Z wozu tymczasem wypadł pytel z kołdrą, wezglowie, w którym zawinięta była biblioteka, rozsypująca się po gościńcu, otworzyła się na dobitkę szafa, wyrzucając z siebie bieliznę i części ubrania, ba nawet fortepian począł się już pochylać w jedną stronę, grożąc każdej chwili susem do rowu przydrożnego. Rozwarło się wieko, pokazując rząd białych klawiszów, niby zębiska w wyszczerzonym łepie.

Na szczęście nadeszli właśnie z przeciwległej strony robotnicy folwarczni, którzy spłoszone konie wstrzymali i uspokoili. Gaszczyk dobiegł cały zasapany i spocony do koni, lżąc i przeklinając na czem świat stoi, podczas gdy nauczyciel z Bachrakiem zbierali rozrzucone książki, kołdry, portki i poduszki po drodze.

— Szczęście, że fortepian na wozie pozostał — ozwał się nauczyciel, gramoląc się na wóz, aby zaraz zbadać, czy też instrument nie podniósł jakiego szwanku. Uderzył w klawisze i przekonał się, że »pudło« grało jak zawsze. Wyciął na konto szczęśliwie zakończonego ambarasu siarczystą polkę, że niejeden z »pańszchorzy« cupnął obcasem o drogę, pochylił czapkę na bakier, a stary Gaszczyk, udobruchawszy się wkońcu, ujął staro Bachraka w poły, potoczywszy się z nim

w półkole. Kobiety na odgłos tych żwawych dźwięków niemal że ze zdziwienia nie osłupiały.

— Nale dziwejcie sie ludzie, jak to gro! Dłobości kany!

— Tobych nie myślał — mniemał stary Wardas — że ta łolmarya tak dyabelnie polke wystruże. Czechmon by cie wziął!

— Też to ten rehtór saframencko umie palcami przebierać — dodał inny. — Bee z niego dobry organista, na mu duszu, temu organy pójdą jak ty Gaszczykowe konie.

A naroz zawarczało coś w dali, dało się słyszeć gwałtownie stukanie, a potem żałośnie zabeczało.

Na bok ludzie, bo hałtomobil jedzie z góry!

— A do dyaska!

Rozstąpili się, ale samochód musiał stanąć, bo wporzek gościńca stał wóz. Nauczyciel zagrał znów skoczego mazurka, ale mu przerwał tamten z auta:

— Proszę ustąpić z drogi! Cóż to tam za komedya?

— A dyc poczkają, aż pon rehtór dograją ten kasek — odparł Gaszczyk.

Ale nauczyciel przewał swój koncert, bo poznał pana starostę Bobowskiego w myśliwskim ubraniu rozwalonego w tyle samochodu.

Kiedy pan starosta minął wóz, śmignął i Gaszczyk biczem.

— Wjo bramki! Trza nom jechać, bo już niedaleko polednie.

I potoczyli się dalej. Wyjehawszy kawałek za las, ujrzeli przed sobą na pogórku wioskę, do której zdążali. Na widok szeregu białych domków, okolonych gęstymi sadami, zabiło nauczycielowi gwałtownie serce. Toć to jest miejsce jego przyszłej pracy zawodowej, jego nowe sioło rodzinne, gdzie miał żyć, pracować wśród ludu, kształcić młodzież. Różne myśli przemknęły mu

przez mózgowicę. Czy znajdzie tutaj szczęście i zadowolenie w pracy, za którym daremnie do-tychczas się ubiegał? Czyż przyjmą go ci ludzie jak swego, czyż mu zaufają i czy zdoła sobie zdobyć ich przychylność, uznanie i chociaż w części ich wdzięczność? Takie lub podobne myśli snuł młodzian, utkwivszy smutny wzrok w istic uroczej okolicy.

— Tóż to je naszo dziedzina — zagadnął go Gaszczyk. — Dziwiają się, loto ta pierwszo kuczka przy drodze należy Mrugałowi. Stary Mrugała już je od wiosny na wymowie. Jego syn nazywo się Michoł, niech go czerci zbierają, przycisko staro-ego kaj może. Dziwiają się, ta połowa chałupy, kaj stary siedzi, sie nadobrze wali, a ta drugo połowica, kaj są młodzi, je dobrze słupkami podprzyto i obielono. Aji nowy kumin mają na swoi połowie.

— Komuż należy to ładne domostwo obok tych lip? — zapytał nauczyciel.

— Jako ty pieróny na dachu stoją? Aha, to je fojtowe obejście, zaroz poznają, że to lepsi ludzie. Pieróny na chałupie i stodole, firanki w oknach, przed sienią ogródek. Jednego syna mo w szkołach, bee sie uczył na księdza lebo geometra, drugi dostanie grunt.

— A obok fojta ta chałupa?

— Ta z tym słómiannym dachem a rozbula-ną szopą? To je Mokrysz, szewiec. Ale sie chłó-pisko więcej rabczystwem zajmuje, niż kopytem. On mo Jewke Farugowom, z tego budynku łuno, co to w tym dole stoi. Faruga nikiedy handluje bydłem.

— Któż tam mieszka przy tym lasku?

— To jest Hanusek ze Szurówki.

— Dlaczego ze Szurówki?

— Bo jego baba mo szurą gębe od tego cza-su, jak ją zaraziło — objaśniał Gaszczyk. — Jego baba pochodzi hań z tej chałupy, kaj ta świni

na kuliku je uwiązano. Była dość bogato, jak sie wydała, bezmali dostała trzy tysiące pieniędzy, dwie krowy, jałówkę i prośną świnie.

— A gdzie wy macie swój dom? — badał dalej nauczyciel.

— Eszcze nie widać, aż kąsek zajademy. Ale moi pole už widać. Jako hanej ty góry od fojtowej studni ku kierchowu ciągną, to należy ku moji chałupie. Pole dobre i urodzajne! A teraz sie dziwiają w to miejsce, jako sie ty lasy rozstepują na kopcu. Widzą ponad jodłami dach? To tam mieszko ten łobergojny, jejich kolega, co mi już o nim wyrządzali. Chłapczysko mo dobrą posade i pana rznie jak feszter. Ale dobry to holec, muszę powiedzieć, chłopu nie krzywdzi, jeny że taki za stateczny i hyrny. Wjo bramki. — Poczkają, už, už bedemy widzieć szkołę. Aha! Widzą tam za dziedziną ten samotny budynek piekny z temi oknami wielkimi? —

— To jest szkoła?

— Nó, to, to! Dómek jak na obrozku malowany. Bedą mieć piekne mieszkani. Stoi kapke na uboczcu, na Pustkowiui, jak to tam nazywómy, bo za lasem jest eszcze pore chałup, tóż szkołę musieli prawie w tem miejscu postawić, aby dzieci z dziedziny i ze Zolesio miały jednako daleko.

Nauczyciel wpatrzył się w to miejsce, gdzie szkółka stała. Budynek, widać, nowy, ładny, dachówką kryty, otoczony zewsząd rozległym ogrodem; z jednej strony stały cztery odwieczne lipy, zasłaniając go od wiatrów północnych, okna błyszcząły w długim rzędzie, mieniły się w słońcu, pod szkółką stała szopa i mała obora. Prezentowało się to rzeczywiście nader mile i ujmująco oku.

— A hanej za stawem pasą moje gizdy krowy. Chodzą eszcze do szkoły — mówił dalej Gaszczyk.

Dzieci, ujrawszy nadjeżdżający wóz z nowym nauczycielem, zbliżyły się ciekawie ku drodze, wlepiając oczy w obcego pana rektora.

— A czemu darybaki nie pozdrowicie? — krzyknął na malców z daleka Gaszczyk. — To są ten nowy rektór! Pódziaw aspoń ty, Józek, pocałuj ich w rękę a przywitej pięknie! —

Józek, wyjąwszy palec z ust, przystąpił ku wozu, ujął rękę nauczyciela, składając na niej pocałunek.

— Ano, ładne chłopaki macie Gaszczyku, rzeczywiście bardzo ładne, rzekł nauczyciel i poklepał chłopca po kędzierzawej głowce. Gaszczyk uśmiechał się rozpromieniony.

— Chwała Bogu, ni mogę powiedzieć, dzieci mom kupe a wszycki wydarzone, choć nikiedy i porwóz na nich potrzeba zamoczać.

Drogą od wsi zdązał mężczyzna pochylony z torbą u boku. Kiedy przechodził koło wozu, skłonił się głęboko, zdjął czapkę, odkrywając białe jak śnieg włosy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Krystus — pozdrowił.

— Na wieki — odrzekł Gaszczyk. — To je nasz pocztorz. Roznosi pisma po dziedzinie już sztyrycet roków. A nogi mo eszcze zdrowe jak buk! — Listonosz, uszedłszy kilka kroków, stanął, wkładając szeroki kapelusz na głowę, przypatrując się z tyłu zaciekawiony nauczycielowi. — Młody chłop eszcze. A z oczy mu tak dość porządnie patrzy, widać, że i nie złe to bee — szeptał do siebie.

Pobiegł potem prędzej drogą, ażeby nowinę tę roznieść po wsi. Następnie mijał wóz droźnika, stojącego z motyką i żelaznemi grabiami w rowie, z kapeluszem, na którym świecił mosiężny orzeł dwugłowy, godło jego zawodu.

— To jest nasz pograbcz od drogi — przed-

stawiał Gaszczyk. — A to oto są nasz nowy rector, zrozumieście Przybyło?

Przybyła uśmiechał się głupkowato, rozwierając usta szeroko, aż mu żółte trzonowe zęby zabłysnęły.

— Dyć joch to zaroz zmiarkowoł, że to oni są, ha, ha, ha. Spotkali potem poważnego gospodarza o rumianej twarzy. Pozdrowił również, choć już nie tak uniżenie, jak tamci.

— To jest Sikora, pierwszy radni i nejwiększy siedlok — szepnął z cicha Gaszczyk, a twarz jego przybrała wyraz głębokiego szacunku. — Chłopisko bogate, a bardzo stateczne i porządne! Mało takich dziśka!

Dwie dziewczki, prowadzące na powrozie prosię, zderzyły na widok nauczyciela gdzieś w bok, kryjąc się za krzakami. Kiedy dojeżdżali do samej wsi, panował tutaj już wielki ruch, gdyż dzieci Gaszczyka, pędzące przed wozem, w mgnieniu oka rozniosły awizo o nadjeżdżającym nauczycielu. Wyszli ludzie prawie ze wszystkich chat. Rozkładając rękoma, gestykulowali żywo, pokrzykując jeden na drugiego, zwoływali się, lecz skoro wóz zbliżał się ku jakiejś chałupie, znikali wszyscy za węglem, tylko dzieci pozostały albo jakaś starsza kobieta. Zato z każdej szpary stodoły lub szopy błyszczały ciekawe oczy a kiedy wóz toczył się dalej, wylazili z kryjówek.

— Widzieliście go?

— Widzieli! Kryste Panie!

— Że miał czorne oczy a fusek pod nosem.

— Ale brunatne oczy miał — zbywali się. —

A zieloną krawatkę.

— Na palcach miał pieścionki.

— Ale nie ślubne, z kamieniem — twierdziły dziewczyny. — A po gębie był bladawy.

— Dość szykowny chłopiec! A taki jeszcze młody.

— Bee mu z dwiejadwacet roków.

— Może sie i w dziedzinie ożenić — rzekła któraś z matek.

— Jużci, że może. Nale ludzie, tóż to taki wyglądo? Dłobosci kany! Przejeżdżając około nędznej lepianki wymownika Mrugały, ujrzeli starca z zapadniętą, wybiedzoną twarzą i wyblakłemi oczyma, patrzącemi smutno i rozpaczliwie w świat.

— To to je ten wymownik Mrugała — szturchnął Gaszczyk nauczyciela. Wymownik, przysłaniając dłonią zapuchłe, krwią zabiegłe oczy, wpatrzył się w przybyłych.

— Jak sie macie Mrugało? — krzyknął furman.

— Ap, — machnął desperacko ręką starzec. — Jako zawsze. — Oddychał ciężko, głowa się mu trząsała a nogi zagibały się pod nim łukowato.

U Wardasów młócili na młockarni. Kiedy wóz mijał stodołę, łoskot turkocącej maszyny znacznie przycichł, że to chłopci, obracający koło różpedowe, zagapili się w przejeżdżających i mniej silno obracali. Wreszcie młockarnia stanęła, i dały się słyszeć szepty:

— Prawie teraz jechoł. Jeszcze sie na mnie podziwoł — mówiła Zuzka, dziewczka gazdy.

— Co pleciesz, — zbijała jej koleżanka Marysia. — Na mnie zyrknył a baji sie uśmiechnął.

— Dzisz, jak sie już dziełuchy o młodego kłóca — ożwała się stara Byrtusowa szyderczo.

— Nie bójcie sie, bo go żodno nie dostaniecie! Stanęli wreszcie przed gospodą gminną.

— Ja wstąpię oto do wójta — rzekł nauczyciel — a wy tu na chwileczkę poczekacie. Zaraz wrócę.

— Dobrze, dobrze. Przeńdą se oto kole płotu, tam za tą stodołą už są fojt. Wójt przechadzał się właśnie po podwórzu, rozdawając dyspozycye czeladzi, krzątającej się około obory i stodół. Wieku był średniego, wzrostu okazałego, z po-

godną, wiecznie uśmiechniętą twarzą. Ujrzawszy zbliżającego się nauczyciela, ozwał się już z daleka wesołym głosem:

— A to pewnie ten nowy pón rehtór! Pieknie witom do nas, bardzo mie cieszy, że už roz przyjechali.

Jego dźwięczny głos a niemniej nader sympatyczna twarz, z której przebijał wyraz serdecznej przyjaźni i uczciwości ujął sobie od razu serce młodego nauczyciela.

— Jaka była podróż? Szczęśliwie przybyliście? — Uścisnął silnie dłoń nauczyciela, patrząc mu prosto w oczy. Wyszła też i wójtowa, kobieta również śtateczna, a taka sobie pewna, energiczna, z taką miną dobroduszną a zarazem poważną, że zaimponowała nadzwyczaj nauczycielowi. Zaprowadzili go do izby gościnnej, uraczyli napitkiem i sowitem jadem, udzielili mu różnych rad względem jego przyszłego pożycia z ludem, wkońcu, zdjawszy duży klucz szkolny z gwoźdźcia, rzekł wójt:

— Tak, panie rehtór, możemy teraz iść. To je klucz od szkoły.

Tymczasem otoczyła wóz przed gospodą cała rzesza ciekawych, robiąc różne uwagi na temat sprzętów i osoby nauczyciela.

— Parcie jeny, mo trzy poduszki, a żodnej pierzyny. Czem se bee przykrywoł?

— A dyć mo łoto deke — obaśniał Gaszczyk.

— A co tam mo w tej łodmaryi? — pytali sie dalej furmana.

— Tam mo szaty, parazole, haweloki i gorczki.

— Gorczki? — dziwili się. — A czy se bee som warzył lebo co?

— Z początku sie bee kustowoł w gospodzie a jeny śniodani bee se som gotowoł — tłómaczyła służąca gospodzkiego.

— Dyc i tak sie musi z czasem ożenić — rzucił ktoś.

— Nejprzód musi być wybrany »defyntywnie« przez nas wydziałowców, a potem sie może żenić — oznajmił Herniok z złośliwym uśmiechem. — Musi sie chłop pieknie kole nas uwijać, a nejbardziej kole miie, bo mu wszycko zepsuje. Taki rectorczyk jest od nas wydziałowców zależny, bo my chłopi placemy na szkole i na wszyckich panów i darmozjadów.

Tak objaśniał nadęty Herniok gromadzie, strzykając przez zęby ślinę, a jego ospowata twarz o wyrazie podstępnej nieszczerości patrzała z góry na obecnych, słuchających go z uwagą.

— Defyntywny musi nejprzód być, rozumiecie? — dodał, napuszczając się. Nie zrozumieli, co to znaczy »defyntywny«, aczkolwiek im ten wyraz bardzo zaimponował. Ale wtem nadszedł wójt z nauczycielem i w momencie zniknęli wszyccy, a tylko Herniok pozostał na miejscu, świdrując nieufnem okiem przybysza.

— To jest nasz drugi radni — przedstawił go wójt.

— Drugi radni, zastępca samego fojta, wiedzą! — dodał Herniok dumnie. Nauczycielowi jakoś się przykro zrobiło na widok tego zarozumiałca. Uchwycił jednak prawicę chłopca, rzekłszy:

— Witam was! Myślę, że będziemy dobrymi przyjaciółmi.

— Jako już tam, jako już tam, — wycedził zagadnięty przez zęby.

Gaszczyk pociągnął za lejce i wóz ruszył dalej ku szkole. Stał przed ogrodem szkolnym, a wójt z nauczycielem weszli do pustego budynku.

— Jejich poprzednik już przed dwiema miesiącami się wykludził — rzekł wójt.

Owiało ich dziwne powietrze, przesycone ciężkim zaduchem nieprzewietrzanych pokoi. Mie-

szkanie, zajmujące połowę budynku, składało się z dużego pokoju, sypialni, kuchni i jadalni. Okna wysokie, pod sam sufit sięgające, przepuszczały całe strugi złotych promieni słonecznych. Drugą połowę zajmowała klasa, również jasna, obszerna, wesoła. Wogóle zrobiła szkoła na nauczycielu jak najlepsze wrażenie.

— Pomieszkanie będą mieć piękne, panie rektor — rzekł wójt.

— Owszem, owszem, — potwierdził tenże. — Anim się nie spodziewał. Pokoje, widać, zdrowe, widne, przed oknami zielony ogród, widok na całą okolicę, a nawet na całe pasmo dalekich gór. Wspaniale!

Nadeszło kilka chłopów, którzy wedle wskazówek nauczyciela ustawiali w największej izbie sprzęty. Urządzenie kawalerskie, tylko najniezbędniejsze meble, jedynie fortepian stanowił przedmiot luksusowy. Po ustawieniu mebli pożegnał się wójt, mający pracę z sianożęciem, z nauczycielem, który pozostał sam jak palec w szkole.

II.

Na Pustkowiu.

Więc już jest na nowej posadzie! Nauczycielem i kierownikiem jednoklasowej szkoły! Wprawdzie jeszcze nie »defyntywnie«, jak to Herziok tłumaczył, no ale miał nadzieję, iż go wydział gminny wybierze na stałego nauczyciela i że pozostanie już tutaj w tej zacisznej, miłej szkółce na zawsze. Niechby się już raz skończyły te ciągle przenosiny z jednej posady na drugą.

Siadł na kanapce, zapalił papierosa, a jego duszę napełniło uczucie błęgiego zadowolenia, kiedy się tak rozglądał po swoim pokoju, po tych jasno-zielonych ścianach, na których widniały w czarnych ramkach barwne akwarele, jego wła-

sne dzieła, przedstawiające krajobrazy śląskie. Słońce oświetlało skośnymi promieniami izbę, kładąc na podłogę, bieluchno wymytą, złote, wibrujące plamy i pręgi, które za każdym razem, ilekroć drzewa w ogrodzie lekko się zachwiały, drżały, podskakiwały i po lśniących sprzętach zwołna się przesuwały.

A jaka błoga, kojąca cisza w około niego! Nic się nie odzywało, żaden głos ze słonecznych pól nie dolatywał i tylko jednostajne tykanie, niby ciche, przyjacielskie gwarzenie budzika-towarzystwa na półce biblioteki skromnej lub senny szum drzew, poza oknami w ogrodzie przerywał poniekąd zadumaną ciszę.

W rogu pod oknem stał, a raczej drzemał fortepian po długiej, męczącej podróży i tylko blask słoneczny krzesał z jego politurowanego wieka i śnieżnych klawiszów pryskające iskry. Drzemał, lecz zdawało się, iż już, już zadźwięczą jego struny w cichym, jakby dalekim akordzie i napełnią tę jasną izbę cudną harmonią.

Wstał, ułożył nuty na pulpicie, poprawił fałdy u firanki w oknie, otarł proch z biblioteki, posunął stół bliżej ku oknu, a potem przyglądał się całej izbie ze wszystkich stron: od drzwi, od pieca, od okna i od sieni, z każdego miejsca wydawał mu się pokój powabny i miły.

Wszedł do kuchni. Okno wychodziło na podwórze, w kącie stała blacha, obok blachy piec kaflowy. Założywszy ręce, rozmarzył się: Przed duszą stanęła mu żonka, kobieta miła, gadatliwa, łagodna, w fartuszkach białym, uwijająca się około blachy. On siedzi sobie za stołem, nakrytym białym obrusem, czyta gazetę, albo też jakąś książkę, a niekiedy wygrzewa się gnuśnie obok pieca. Iata rozkochanemi oczyma za żonką, żartuje, opowiada jej wesołe anegdotki, albo też nic nie mówi i tylko wpatruje się w trzaskające płomienie pod blachą. Jakże miło to będzie w mroźne

dni zimowe, kiedy za oknem wirować będą w powietrzu lodowate płatki śniegu, a on w ciepłej kuchni używać będzie zacisznego szczęścia przy ognisku domowym, puszczając z cybucha niebieskie kłęby dymu.

Ale się ocknął popatrzawszy na gołe ściany i zardzewiałą, długo nieużywaną blachę i szary, tak dawno już wystygły popiół. Na razie jeszcze jest kawalerem, jeszcze nawet nie upatrzył sobie w żadnej dziewczynie swej przyszłej towarzyszkę życia, nawet go dość przykro gdzieś w środku koło serca żgnęło na myśl, że jest tu tymczasem tylko prowizorycznym nauczycielem.

Z kuchni wyszedł do sieni i otworzył drzwi do klasy. Usiadłszy za stołem na katedrze, przypatrywał się barwnym obrazom na ścianach. Klasa była obszerna, widna, przez cały dzień pływała w blaskach słonecznych, ławki w zielonym pokójście połyskujące stały w prostych rzędach. Jak cicho i spokojnie tu teraz, a jak gwarno i wesoło będzie za kilka dni, kiedy się ławki napelnią jasnogłówkami. Przedstawił sobie w duchu, jak miłe a przyjemne będzie to obcowanie z dziaćwą szczerą, prostą i niewinną, widział już przed sobą te ciekawe, szeroko rozwarte ślepki, kiedy im będzie opowiadał jakąś powiastkę lub historyjkę, kiedy będzie im mówił o tym wielkim, cudnym świecie i rozwierać będzie młode serduszka nieskazitelne dla Boga i jego cudów.

— Uważajcie dzieci — zawołał na pustą klasę, próbując głosu w tych murach swego przyszłego warsztatu. — Opowiem wam teraz historyjkę o biednej Marysi, która raz wilka w lesie spotkała. — O jak się rozpromienią rumiane twarzyczki! A potem będzie zadawał pytania:

— Powiedz mi, Herzyku, dokąd poszła biedna sierotka Marysia?

— Kto ją potkał w lesie?

— Co zrobiła dziewczynka?

I tak się rozgadał w próżnej klasie, z taką żywością począł mówić, rękami rozkładać, przedstawiać, objaśniać, między ławkami się przechadzać, jak gdyby nauka odbywała się pełnym normalnym tokiem.

Dopiero kiedy zauważył, iż stara Gryniowa z drogi z zakłopotaną miną mu się przypatruje, opamiętał się i wyszedł śpiesznie z klasy.

— Dłobości kany — szeptała Greniowa — toć ten nowy rector mo chyba bzika w głowie. Chodzi se po klasie, rozprawio do tych próżnych ławek, śmieje się, na mu duszu, że go czert opętoł lebo co.

Zwiedził potem wszystkie inne ubikacye szkolne, jak ciemną, wilgocią przesiąkniętą piwnicę z resztkami zgniłych buraków, wyszedł i na strych, gdzie na szpagacie rozwieszzone były jakieś pyłem przyprószone podarte pieluszki, zapomniane przez jego poprzednika, był i w małej oborze, w stodole, w szopce, przeznaczonej na materiał opałowy, a potem przeszedł przez ogród szkolny, ogołocony z kwiecia i warzywa, tylko drzewka i szczepki ozdabiały to miejsce, okolone płotem; w rogu stała altanka, dzikiem winem zarośnięta.

Usiadł przed stodołą na ławce, przysłuchując się głosom ze wsi. Słońce dobiegało już widnokregu, kraszac świat purpurowym płomieniem, tak że wszystkie sady, gaje, laski i pola zalały się niby krwią, a stawy poczęły się palić w żarzących blaskach. Tylko pasmo dalekich Beskidów przybrało na się wyblakły błękit, a firament na wschodzie przywdział szatę ciemnoszafirową.

Różne głosy dolatywały od strony wsi. Tam odzywał się jednostajny turkot młynka, gdzieindziej wartkie bicie cepów o twarde gumno, ciche trzeszczenie naładowanych sianem wozów, rżenie koni, kwik prosiąt, dopraszających się jadła, kle-

kot lekkich taczek, różne klepanie kosy, urywce głosy ludzkie, nawoływania, piskliwe śmiechy dziewczuch lub żałośny płacz dziecka, zapomnianego w kołysce przez matkę i rodzeństwo, a z pastwisk odzywały się śpiewy pasterzy i przenikliwe gwizdanie na piszczalkach.

Słońce zapadło za czarną smugę boru, a tylko niebo na zachodzie gorzało jeszcze jakiś czas. Im bardziej zmierzch zapadał, tem głośniejsz ożywała się wieś. Pod lasem zapalili pasterze ogień, z którego snuły się rozwlekłe wały śnieżnego dymu, rozciągającego się w długich pasach ponad gołe ścierniska het aż tam na drugi koniec wsi ku stawom, otoczonym sitowiem, niekiedy buchnęły z ogniska wysokie słupy płomieni, rozświetlające w szerokich kręgach przyległe łąki, a dźwięczne głosy dziewcząt, wygrzewających się przy ogniu, nuciły żałośnie:

*Dobra noc, ty wiosko, dobranoc kochana,
Oj będziesz ty spała do nowego rana...*

A oto drogą koło szkoły idzie zwolna jakaś młoda wieśniaczka.

— Dobry wieczór, panie rehtór — pozdrowiła.

— Dobry wieczór — odrzekł nauczyciel. — Skądże wy idziecie? Kobieta przystanąła i dopiero teraz uderzyła nauczyciela widokiem niezwykle powabnych rysów swej smutnej, strąskanej twarzy.

— A oto idę z miasta — odpowiedziała cichym głosem. — Byłach u doctora.

— Czy kto u was choruje?

— Och, Boże, rehtorku drogi — rzekła płaczliwie, zasłaniając fartuchem bladą twarz. — A toć to oni nic nie wiedzą, bo to dziska dziepro przyszli. Mój chłop choruje już od wiosny. Padają, że mo raka.

Rzekłszy to, zaszlochala żałośnie, opierając się o sztakiety płotu.

Nauczycielowi zrobiło się bardzo przykro. Taka młoda, śliczna, w pełnym kwiecie życia, a już tak cierpi.

— Mieszkacie tutaj we wsi? — pytał dalej.

A toć nasza chałupa oto sąsiaduje ze szkołą, dziwiają się oto za temi zagónami ta drzewiano kuczka.

— I cóż wam lekarz poradził?

— Cóżby mógł, panie rehtór, poradzić? — machnęła z desperacyi ręką, przenikając żalonym okiem nauczyciela. — Onemu już tam borokowi żoden dochtór nie pumoże, chyba że groborz z łopata. Ta choroba przyszła na niego z przesiliska, nie był z domu nauczony ciężko robić, bo pochodzi z bogatej familije z drugi dziedziny. Pobraliśmy się przed trzema rokami, chociaż mu jego ojcowie zabraniali, że se to prawie mie ubogą, coch po matce jeno te chałupke z trzema jochami odziedziczyła, chcioł brać, a po ślubie się go wyrzekli na dobrze. Robił chudziok, cńcioł pokozac, że se obejdzie bez majątku ojców i tak mi borok popodł w chorobe. Och, Boże, Boże nejmilszy, cóż też to na mnie czekało — poczęła łkać i ręce z wielkiego strapienia załamywać.

— I czy nawet jeszcze teraz rodzice trwają w uporze, widząc syna w tak ciężkiej niedoli? — badał nauczyciel.

— Dziwiają się, jacy to niemilosierni ludzie! Wiedzą, co za bieda u nas, ale ani się o nas nie spytają.

Wobec tego zwierzenia czuł nauczyciel sam, że tu słowa pociechy wiele nie pomogą. Zasepił się sam nad niedolą tej kobiety, obejmując ją bolesnym wzrokiem.

— Ale przeboczą, panie rehtór — uniewiniła się w końcu, tłumiąc płacz. — że ich tu zabawiom. Jeno mie to zawsze lepi na sumieniu,

jak się mogę przed kim polutować, a gor już przed ludziami sztydyrowanymi, co zawsze mają jakisikej lepsze wyrozumienie dlo tego biednego człowieka niż niejedn bogocz z dziedziny. A zstaną z Bogiem, Boże im tu dej dobranoc.

— Z Bogiem, z Bogiem, duszenko — odpowiedział rzewnie. Ja też tam kiedyś do was zajrzę.

— O przydą, przydą, panie rehtór — uśmiechnęła się przez łzy. — Mój chłopek bardzo im bee rod. Ten rehtór, co tu był przed nimi, też go często odwiedzał. Ale dobranoc teraz.

Długo jeszcze siedział przed szkołą. Zmrok już nadobrze był zapadł, niebo roziskrzyło się tysiącami drgających gwiazd, rozsianych niby złoty piasek po nocnem niebie, a głosy we wsi znacznie przycichły. Także i pasterki pod lasem umilkły, a tylko kupa popiołu żarzyła się tam jeszcze na tle ciemnej ściany milczącego lasu.

Jakiś smętny nastrój ogarnął duszę nauczyciela. Wróciwszy do pokoju, zapalił lampę, otworzył okna i usiadł do fortepianu. Uderzył w klawisze, że zajęczały struny w ciężkim, żalonym akordzie, zadźwięczały boleśnie, a zarazem tkliwie i serdecznie. Rozdrgały się cudne tony, napełniając pokój śpiewną strugą bezbrzeżnie tęsknej symfonii. Leciały sobie te głosy rozbrzmiewającej melodyi przez rozwarte okna w cichy, chłodny wieczór jesienny, niby złote strzały lękającej pieśni, a co nowy dźwięk budził nowe myśli, rodził nowe odgłosy znękanej i strapionej duszy. Ale powoli wkraśl się w tę ciężką harmonię nieznacznie jakiś cieplejszy, ufniejszy i kojący motyw, który zwolna zwyciężał, główny ton melodyi opanowywał, aż wreszcie przebiły się na dobrze tylko te lekkie, tryumfujące, gdzieś w jasne przestworza ulatające pieśni stalowych strun: rozegrały się wszystkie drzewa i zarośla naokoło w ciemnym ogrodzie, rozbudziły się echa w pu-

stych polach, a tylko czarny bór het tam na skraju wioski milczał i dumiał zawzięcie. Od czasu do czasu rozlewało się ognisko na brzegu lasu, niby ogniste oko nocy zbudzonej, patrzące zdziwione w stronę szkoły.

Ostatni dźwięk przebrzmiał. Nauczyciel przystąpił z rozmarzonym okiem ku oknu, potarł dłonią po czole, wlepiwszy wzrok w gwiaździste niebo. Jak spokojnie sobie tam te światy płoną, mrugają! Rwie się dusza, wiecznie niepokojna, bolejąca, w te ciche, skrzące przestworza, ku tem światłom ogromnym, niezbadanym, ponętym!...

Wioska już nadobrze drzemała, ledwo co niekiedy pies gdzieś daleko zaszczekał. Nauczyciel usiadł za stołem i otworzył »Kronikę szkolną«. Chciał się przedewszystkiem zapoznać z dziejami tej wiejskiej szkółki, aby poznać, jakie losy od początku ten zakład przechodził.

Czyta, i już pierwsze litery zajęły jego uwagę tak mocno, iż zapomniał całkiem o świecie. Jego duch przeniósł się w te dawne czasy, kiedy po raz pierwszy pomyślano tu w tej wsi o nauce młodzieży.

Pierwszym nauczycielem był niejaki Balasz, szewc, który w »starej owczarni« w porze zimowej dzieciom nauki udzielał. Było to za czasów cesarza Karola VI., ojca Maryi Teresy, a więc na początku ośmnastego wieku. Gmina odstąpiła na szkołę stary, drewniany budynek, sklecony z gliny i desek, stojący prawie na tem samym miejscu co nowa szkoła obecna. Lepianka ta była kiedyś siedzibą gminnych owczarzy. Jan Balasz, który »doskonale umiał czytać i coś napisać«, znał także cośkolwiek język niemiecki, otrzymywał jako wynagrodzenie rocznie od gminy dziesięć guldenów w złocie, korzec ziemniaków, półtora korca zboża twardego, miesięcznie trzy bochenki chleba i używał cztery morgi pola.

Jan Balasz był »rzetelnym, bogobojnym człowiekiem«, umiał dzieci ćwiczyć, bo »z rąk jego nigdy kij nie znikał«. Poza tem był niezłym szewcem i jako taki znany w okolicy. Leczył także bydło, śpiewał na pogrzebach, a latem pomagał komornikom dworskim pfiży żniwie na folwarku. Miał bardzo uczciwą żonę, imieniem Agata, z rodu Pieleszów a był ojcem dwunastu synów, z których siedmiu na cholere zmarło. Najstarszy z pozostałych został w sąsiedniej wsi »rektorem«, najmłodszy »wyuczył się na księdza« i był później dziekanem w Bielsku.

Jan Balasz zmarł po czterdziestoletniej męczelnej i skutecznej pracy; a po nim młody nauczyciel, nazwiskiem Piedroń Józef, który niestety był wielkim pijakiem i ciężarem dla gminy. Oprócz nauki trudnił się naprawianiem zegarów. Był wielce zdolnym, i gdyby nie trunki, stałby się nader użytecznym obywatelem. Był sekretarzem ośmiu okolicznych gmin. Jak się »zawził do roboty«, to nie pił przez dwa tygodnie nic, uczył, naprawiał zegary i pisał prosby do sądów, lecz potem popadał z tem większą gwałtownością w nałóg opilstwa, że często »leżał spity pod stołem, kiedy to dziatwa straszliwe harce wyprawiała«, a raz to go ci starsi chłopcy na »koryto włożyli i po wsi pijanego obnosili«. Możeby go byli ze służby wylali, ale miał w urzędzie, w magistracie krewnego, który go bronił. Wspomnieć należy, że był »swobodny«. Jednej nocy spaliła się szkoła a »rektor« zginął w płomieniach. Pono miał w nietrzeźwym stanie zapalać ogień na kominie i zapalił przytem szkołę. Stało się to w roku Pańskim 1777.

Po trzech latach wybudowano na tem samem miejscu szkółkę drewnianą, obejmującą jedną izbę jako klasę i dwie komorki jako mieszkanie dla nauczyciela. Wnet się też zgłosił nowy »rektor« w osobie Walentego Drózda, przybyłego od

Cieszyna, wysłużonego żołnierza, który służył przez trzydzieści lat wiernie ojczyźnie i brał udział w siedmioletniej wojnie. Chodził o kuli, bo prawą nogę zostawił gdzieś w bitwie pod Kolinem. Walenty Drózd był biegłym muzykiem, grał na flecie, na basie, na »hóślach« i na organach. Nic nie szkodziło, że miał tylko lewą nogę, bo i jedną nogą przebierał na pedałach niezle. Był niezwykłym silaczem, w gospodzie podnosił w jednej ręce bez trudu stoły, szynkfas, hektolitr piwa, a jeżeli podczas wesela wszczęła się jakaś bójka, rozpraszał »krzwakiem« powasńionych i przywracał zgodę i spokój. Ożenił się z Barbarą Wojtóniową, wielce »zacną kobietą«, wdową po mularzu. Pod względem materyalnym stał o wiele lepiej, niżeli jego poprzednicy. Dostał rocznie trzydzieści złotych, korzec ziemniaków, dwa korce pszenicy i nie trzy, lecz pięć bochenków chleba »piętnastofuntowych«. Jego najstarsza córka wyszła za ekonoma dworskiego.

Zmarł w roku 1804, a następcą jego był niejaki Karol Filip, rodem z Górnego Śląska. Był to młodzian urodny, delikatny, marzący. Nie zajmował się poza szkołą ani rzemiosłem, ani muzyką lub pijaństwem, lecz przechadzał się wiecznie zadumany po polach, nucił w księżycowych nocach przed szkołą smętne pieśni i pisał — wiersze. Zakochał się na życie i śmierć w córce wójtowej. Całymi nocami śleczył biedak pod jej okienkiem, pisał jej listy w wierszach, układał na jej cześć ody ogniste, wzniosłe, lecz wszystko nadaremnie, bo Hela wzgardziła jego miłością i wyszła za bogatego siedlaka, który się nad nią później znęcał i przedwcześnie ją do grobu sprowadził. Dopiero przed śmiercią zapłonęło serce nieszczęśliwej do wzgardzonego nauczyciela, który wciąż skomlał o jej łaskę, sechł i na zdrowiu również podupadał. W dniu śmierci Heli znaleźli i nauczyciela otrutego

w szkole. Hełę pochowali z wielkim przepychem obok kościoła na przednim miejscu, a nauczyciela w rogu za parkanem między samobójcami.

A potem w szkole długie czasy straszło i nikt tam nie chciał mieszkać. Mówili, że duch Filipa chodzi po klasie i pokojach, wzdycha, jęczy i wiecznie płacze. Ale znalazł się jakiś wielce świątobliwy zakonnik, który szkołę po raz drugi poświęcił, trzy dni i trzy nocy w klasie się modlił, pokutował, a potem już nigdy w szkole nie straszło. Tak to ktoś dosłownie w kronice nazaczył.

Na ten czas przypadły długie, krwawe wojny napoleońskie, a następnie wielkie klęski dla narodu. Ciągnęły gdzieś liczne armie na wschód, staczano w świecie straszne bitwy, na niebie paliły się znaki, jak ogniste krzyże lub komety, a potem przyszły lata głodu i moru. Nauczyciel, który objął posadę po Filipie, nazwiskiem Śniegoń, zmarł na cholere wraz z całą swą rodziną i tylko jego stara, dziewięćdziesięcioletnia matka została przy życiu i żyła jeszcze piętnaście lat. W tym czasie wybuchł w wiosce straszny pożar, który prawie całe sioło zamienił w kupę gruzów; także szkoła spaliła się do szczytu, a pozostała tylko marownia (kostnica) na cmentarzu.

Długie lata upłynęły, nim się naród cośkolwiek podniósł i oprzytomniał. Na zgliszczach starej wsi powstała nowa, ładniejsza wioska, powstały te murowane, białe domki, po większej części do dnia dzisiejszego się utrzymujące i postawiono nowy, murowany budynek szkolny.

Nastały lepsze czasy. Nauczycieli płacono lepiej, lud, przekonawszy się o potrzebie nauki, wspierał »reктора« podarunkami, że ten mógł już swobodniej oddawać się pracy wychowawczej nad dźwiatwą, nie potrzebując poza szkołą szukać zajęcia, uwłaczającego jego zawodowi. Nauczyciele pobierali lepsze wykształcenie i sta-

nęli pod tym względem o wiele wyżej, niż ich mizerni poprzednicy.

Kronika opisywała także te czasy, kiedy »rehtór« chodził po »kolędzie«. Wziął sobie kościelnego z workiem i chodził od chaty do chaty. Wszędzie przyjmowano go gościnnie, raczono trunkiem i suteni jadłem, wtykano w garść jakąś monetę, a kościelnemu na wózek rzucano worek zboża, ziemniaków, a u bogatszych i tęgą poleć. Bogaty dał dużo, ubogi mniej, ale każdy podejmował »rehtora« czemś i uważał to za honor, że mógł przyjmować takiego zacnego gościa w swoich progach. Wówczas cieszył się nauczyciel wielkim szacunkiem i popularnością we wsi, był po proboszczu pierwszą osobą w gminie, teni więcej, jeżeli był gminnym »pisarzem«, a przez to mniej więcej wójtem samym.

Przyszły potem lata, kiedy nauczyciele poczęli się organizować. Wywalczyli sobie niezawisłe stanowisko pod względem społecznym i materialnym. Pierwszy nauczyciel, pobierający tu we wsi pensję w urzędzie podatkowym — a nie u wójta jak dotychczas — był Józef Bیلko. O nim wspomniała kronika szkolna, iż był wzorowym nauczycielem. Zmarł jednakże po piętnastoletniej służbie na suchoty. Po nim następowali rażno inni, którzy krótko bawili we wsi i dopiero, kiedy w r. 1880. postawili ładną szkołę, odpowiadającą wymaganiom higienicznym, osiadł na dłuższy czas poprzednik czytającego na szkole tej aż do czasu, kiedy go jako zasłużonego weterana nauczycielskiego wysłano przed wakacjami na emeryturę.

Tak więc opróżniła się posada, a czytający kronikę był z rzędu dwunastym nauczycielem w tej wsi i jako ostatni zapisał się też zaraz do grubej książki. Po stu latach, kiedy jego kości dawno już w proch się rozsypią, kiedy nikt go wspominać nie będzie, może się będzie jakiś ko-

lega zajmował również lekturą kroniki jego życia, tak, jak on obecnie przejmuje się na wskroś opisem swych zgasłych poprzedników, którzy tu na tem samem miejscu żyli, cierpieli, walczyli z tem marnem życiem, ażeby wreszcie zniknąć z tego nędznego świata, rozwiać się w niepamięć, a tylko w tej zbledniałej, wyszarzanej księdze jakieś ślady po sobie zostawić.

Powstał od stołu z ociężałą głową i począł się, głęboko zamyślony, po pokoju przechadzać. Jakież to dziwne losy przechodzili jego poprzednicy! A cóż jego w tej szkole czeka, czy popłyną mu tu dni w spokoju, szczęściu i cichem zadowoleniu..., albo czy go też tu czekają chwile bólu cierpienia i przykrych zdarzeń? Któż wie, co o nim kronika będzie pisała?!

Nastawiwszy samowar na stoliku, usiadł na kanapie, wpatrując się smętnym wzrokiem w syczące, modre płomienie. Woda w garnku poczęła z wolna śpiewać, wrzeć, wyziewając kłęby z lekka unoszącej się pary pod sufit.

Nalał sobie gorącej herbaty do szklanki, ukroił skibkę chleba i spożywał skromną wieczerzę. Zdjąwszy następnie odzież, położył się po krótkiej modlitwie do łóżka. Miał tu po pierwszy raz u siebie nocować. Jakie nocy spędzi on tutaj w przyszłości? Czy będą to nocy wypoczynku błogiego po mozolnej pracy dziennej, albo czy też przepędzi je poniekąd bezsennie, trapiąc się w smutkach i dolegliwościach? Przynął krzesło z lampką ku łóżku, położył obok na podłogę rewolwer, a wzięwszy książkę do ręki, począł czytać, jak już to zwykle robił przed zaśnięciem.

Zwolna poczęły mu się powieki kleić, zgasił zatem światło, nakrywając się szczelnie miękką kołdrą. Patrzył jeszcze jakiś czas w szyby okna, widział migotliwe gwiazdki na niebie, konary drzew, odrzynających się na tle nieba w czarnych przęgach, które się niekiedy lekko poruszały; a

budzik, jego miły towarzysz, wciąż cykał niestrudzenie, wartko, miluchno, przychlebnie, jakby mu coś bardzo miłego chciał opowiedzieć; były to jedyne głosy w całym budynku szkolnym.

Zasnął, ale jego sen był bardzo niespokojny. Wyobraźnia, tak mocno podczas dnia wzruszona, poczęła tworzyć samowolnie dziwne obrazy i postacie. Najprzód mu się wydawało, jakoby był jeszcze w drodze z Gaszczykiem. Wóz począł się chwiać, on z furmanem wyteżał siły, aby go wprowadzić w równowagę, a tu widzi, jako Herniok z szatańskim uśmiechem gwałtem przeważa go w stronę rowu, aż mu się nareszcie udało wszystko zwalić na ziemię. Fortepian się rozbił w kawałki, a Herniok, stojąc na boku, śmiał się szyderczo, kiedy Gaszczyk rozjudzony nacierał na niego.

Potem zaś widział, jak wioska gorzała, a on stanął na dachu szkoły i zlewał kalenicę wodą. Kiedy wioska już w zgliszcach leżała, wywłókla się z cmentarza długa procesya białych, strasznych postaci z poczerńniętymi twarzami. To byli ci, którzy na cholere byli pomarli, jak to kronika opisywała. Kiedy przechodzili koło szkoły z smętną pieśnią na ustach, odczepiła się od nich mała grupka, zdążająca ku szkole. Był to ów nauczyciel z synami, którzy również na cholere umarli. Ojciec niósł w rękach starą kronikę szkolną.

A potem znowu gdzieś to wszystko zniknęło, a nawinał się otruty Filip, który długi czas chodził po ogrodzie, płacząc rzewnie jak dziecko. Ulitował się nad nim, więc wstał, otworzył okno, chcąc go przywołać do pokoju, ponieważ było na polu bardzo zimno. Ale Filip, młodzian z siną twarzą i kędzierzawym włosem, stał tam przy altance, ocierał łzy z oczu, nie ruszywszy się z miejsca. A tu naraz wypadł skądś znowu Herniok z podniesioną siekierą na Filipa, chcąc mu zadać cios śmiertelny.

Nauczyciel przebudził się przerażony. Był cały spocony, głowa mu się paliła jak w żarach, a kiedy się w łóżku podniósł, zdawało mu się, że wyraźnie słyszy jeszcze jakieś rzewne szlochanie. Ale to był tylko wiatr, który za węglem przeciągle świstał i jęczał. Ułożywszy się na nowo, spał już do rana spokojnie. Taka była jego pierwsza noc.

III.

Starzy przyjaciele.

Wybrał się w drogę do swego przyjaciela Farnika, adjunkta leśniczego, którego już tyle lat nie widział. Przeszedł wieś i puścił się szeroką miedzą w stronę lasu. Stanąwszy na skraju rozległego boru, przypatrywał się z dali wiosce, leżącej na wzgórzu w ciszy, w spokoju, przybierającej się w lekką, mleczno-mglistą zasłonę.

Na kraju lasu żółkły i więdniały już krzaki malinowe, okrywając się delikatną siecią pajęczyn, więdły już zielska i trawy; wszystko to przygotowywało się powoli do snu jesiennego. Wszedł w dębiny, która się już również różowo zapalała, przestrzeniała i widniała; gdzieś pierwsze zwiędłe liście leżało zeschnięte pod drzewami. Wszędzie panowała ta słodka melancholia, poprzedzająca porę jesienną. Żaden głos się nie odzywał, żadne ptaszę nie zakwiliło, grobowe milczenie ciążyło w łagodno-ciepłym powietrzu, tylko strumyk w gąszczu mruczał i bulgotał jednostajnie, sennie, lecz nie tak żywo, jak w lecie. Na jego dnie błyszczwały białe kamyki, mienił się w słońcu żwir piaszczysty.

Za dębina rozpoczął się ponury las świerkowy. Nauczyciel poszedł szeroką, prostą aleją. Chłodne, wilgotne powietrze było przesycone ostrym zapachem żywicy. Miejscami leżały uło-

zone stopy drzewa łupkowego, albo długie, ociosane tramy. Gęsty mech zarastał chodnik, tłumiąc odgłos kroków, żeś nie słyszał ani własnego stąpania.

Aleja wchodziła na obszerną polanę. W jednym miejscu rozrzucone były w trawie omszałe kłody, opodal czerniały pniaki, a na jednym z nich siedział mężczyzna w młodym wieku, ubrany z myśliwska, z zarzuconą przez ramię strzelbą. Kiedy ujrzał zbliżającego się nauczyciela, podniósł głowę, a wówczas oświeciło słońce jego łagodną, zadumaną twarz o miłych, prawie że szlachetnych rysach młodzieńczych. Nauczyciel spojrział bystrzej na niego, twarz się rozpromieniła, — wszak poznał w leśniczym dawnego przyjaciela Farnika. Ten, rozwierając niebieskie, promienne oczy, wzdrygnął się, podskoczył do góry i jednym susem wpadł w objęcie nauczyciela, ściskając go w drżących ramionach.

Kilka sekund nie mogli ze wzruszenia przemówić do siebie ani słówka. Pierwszy przyszedł nauczyciel do siebie.

— Po tych niebieskich oczach i wiecznie zadumanej twarzy poznałem cię odrazu! — ozwał się do adjunkta.

— Ile lat nie widzieliśmy się już? — zapytał tenże.

— Zaraz! — odparł nauczyciel. — Kiedy opuściliśmy w Bielsku szkołę wydziałową, liczyłem lat piętnaście. Obecnie liczę dwudziesty piąty rok życia, zaczem od dziesięciu lat nie oglądał się. No, ale daj jeszcze raz pyska! Pamiętaj, jakeśmy w jednej ławce siedzieli w szkole?

— Jakby dziś! Wychodziliśmy dobrze na tem. Byłeś dobrym stylistą, ale marnym matematykiem, ja zaś odwrotnie. A więc ja odpisywałem od ciebie ćwiczenia stylistyczne, a ty odbijałeś odemnie zadania rachunkowe.

— A pamiętasz starego Richtera, tego dobrodusznego dziwaka?

— Doskonale! Był przyrodnikiem, świetnie wykładał.

— Czy też ten łysy Kotermann jeszcze żyje? Pozował na Katona. Wiecznie moralizował, oczami przewracał, a wykładając lekcję, stał na katedrze jak żołnierz na posterunku.

— Był tak surowych poglądów, że się nawet nie ożenił, twierdząc, że obcowanie z płcią żeńską jest coś nieprzystojnego i mężczyzny prawych obyczajów niegodnego.

— W takim razie ci nie wiadomo — rzekł nauczyciel — że się ożenił z swą byłą uczenicą, gdy liczył lat sześćdziesiąt.

— A to ci dopiero jucha! — zaśmiał się adjunkt. — Ale co też robi Fryczowa, gdzieśmy byli na kwaterze!

— Biedaczka! — machnął nauczyciel ręką. — Skończyła bardzo smutnie. Oddała się w ostatnich latach zupełnie rozpuście. Jej mąż się powiesił, pono ze zgryzoty nad nią, ona zaś zmarła w »Domu ubogich«.

— Bo też już wówczas, kiedyśmy się u niej stołowali, poczęła schodzić na bezdroża. Taka przystojna kobieta, a tak marnie zesła!

— Przypominasz sobie, jakieśmy raz pokrywom pierwsze papierosy palili. Skusiła nas do tego Fryczowa. Żleśmy na tem wyszli, bo Frycz, pocziwiec, zbéształ nas dyabelnie, a co się gorszego potem stało, tego już nie powiem.

— Frycz, kiedy przyniósł w sobotę z fabryki wypłatę, a był przy szczególnie dobrym humorze, wziął żonę i nas do szynku na piwo. Żonka się mu spiła, a on, również podchmielony, ronił w kącie nad nią obficie łzy, a myśmy harcowali z Wilusiem, synalkiem restauratora po izbach szynkowych.

— A pamiętasz, Karolu, — pytał nauczyciel — jakoś to oberwał za uszy od gospodzkiej, kiedyś ze swawoli wypuścił szpunt z beczulki piwnej?

— Jeszcze mię dziś świerzbą uszy, kiedy sobie to przypomnę — rzekł adjunkt. — Coprawda, tośmy wyprawiali psoty, tem więcej, że nie było ostrzejszego dozoru nad nami. Kto wie synku, coby tam z nas było, gdybyśmy jeszcze parę lat byli pod opieką Fryczowej.

— Ile razy — przypominał nauczyciel — waleliśmy się wieczorem bezcelowo po bruku! Niekiedy tośmy wracali późno nocą. Całemi godzinami wysiadaliśmy na dworcu kolejowym, albo wpatrywaliśmy się ukradkiem przez okna w ubikacye teatru miejskiego, niekiedy zaczepiali przechodniów na ulicy, staczali walki z gimnazyastami, rzucali kamieniami w druty telefoniczne, jeździli na »ringelszpiler«, strzelali pod budami w blaszane słonie i ptaki, a kiedy nadszedł maj, tośmy wychodzili za miasto w aleje, wysiadawali na ławkach pod kwitnącym bzem, a niekiedy to nas w tej wonnej ciszy wieczornej taka jakaś tęsknota, połączona z lubem, słodkim rozrzewnieniem, ógarniała, tak nas miła a tęskna lubość rozpierała, żeśmy sobie rady nie wiedzieli. Były to nieznanne uczucia, budzące się w duszach chłopców piętnastoletnich, przechodzących w wiek młodości. Wówczas poczęliśmy filozofować o świecie i ludziach, wyłaniając jakieś dziwne żale serc zbolałych nad wszystkim, ale unosiliśmy się jakimiś wymarzonymi, niezrozumiałymi ideałami, albośmy też nic nie mówili, i tylko się tak rozmarzeni w daleki, przygłuszony gwar odległego miasta wsłuchiwali. Niekiedy dolatywały skądś przyciszone dźwięki orkiestry, albo zabrzączał w kasztanach chrabąszcz, lub ozwał się głośniejszym Białki z sitowia, a tyś patrzył w księżyc i płakał jak dziecko, bo cię coś szarpało za serce, chocia-

żeś sam nie wiedział, coby to takiego mogło być. Często zaś, ocknąwszy się, jakby z cudnego snu, zrywaliśmy się z ławek, poczęli skakać po ścieżkach, bawić się w ślepą babkę, latać za »janičkami« i byliśmy znowu tylko dziećmi naiwnymi, używającymi każdej swobodnej chwili.

— Tak, tak, kochany Wiktorze — kiwał adjunkt głową, a jego błękitne oczy patrzyły zadumane w dal. — Przypominasz mi wszystko, masz wspaniałą pamięć. — I ja sobie niejedno odświeżam w pamięci. Jakież to śliczne były te nasze wycieczki botaniczne w góry, pamiętasz?

— Mówisz o tych wycieczkach na Klimczok?

— Na Klimczok, na Błatnią, do Cygańskiego Lasu do Żywca, Boże, gdzieśmy to wszędzie nie byli. Zbieraliśmy kamienie, rośliny, motyle, co nas tylko mogło zajmować. Bo też to stary Richter potrafił rozbudzić w duszy młodzieży zamiłowanie i podziw dla cudnej przyrody. Najmniejsza roślinka, każdy kamyk, wabiący kolorem lub swym kształtem, każdy owad zajął naszą uwagę, nad wszystkim zastanawialiśmy się, każdy objaw badaliśmy, a ileż to uciechy, ile zachwyty doznawaliśmy przy tem! Pamiętam, jakeśmy niekiedy w chłodnym cieniu pod jakimś samotnym drzewem na szczycie góry spoczywali. Nasze oczy zachwycone biegły ponad tę piętrzące się pagórki lesiste, złocisto-niebieską mgłą osnute, zatrzymywały się w cienistych, szafirowych kotlinach, w dole lub na jasnych, w szmaragdowej zieleni mieniących się sałaszach, a het tam w dali widniały dwa miasteczka fabryczne, Bielsko z Białą, jak dwie siostrzyce, ponad którymi wiecznie ciągnęła w gorącej atmosferze letniej długa, rozwlekła smuga szarego dymu, wyrzucanego bezustannie z licznych czerniałych kominów fabrycznych.

A potemeśmy się rozłączyli i poszli różną drogą życiową.

— Opowiadaj, kochany, jakie koleje przechodziłeś od czasu naszego rozstania się — rzekł nauczyciel.

— Moje życie — opowiadał adjunkt — uchodziło mi od tego czasu dosyć smutnie a przykro. Najprzód zmarł mi ojciec. Została matka z rodzinstwem na biednej realności chałupniczej. Bylbym musiał moje studia przerwać, gdyby się mój wuj, mieszkający w Weisskirchen na Morawach, jako majątny kupiec, nie był zajął moją dalszą edukacją. Oddał mię do szkoły leśniczej, gdyż, jako wiesz, do innego zawodu nie czułem skłonności. Życie u wuja było przykre. Okropny pedant, mruk i dziwak. Trzymał mię zbyt krótko. Mawiał, iż młodzieży powinno się skrzydła ostro obciąć, ażeby nie wzlatywała za wysoko i gdzies sobie głowy nie rozbiła. Odosobniał mię od towarzyszy, nie miałem żadnego bliższego przyjaciela, do jakiego młody człowiek się rwie, by się podzielić z nim swemi myślami, planami, by mieć powiernika jednako myślącego i odczuwającego. Nie znałem innej drogi jak z domu wuja do zakładu leśniczego i odwrotnie. Co mię zaś najbardziej bódło, była jego ustawiczna gadanina, żem zależny od jego łaski, że mię każdej godziny może napedzić, jeżelibym się ośmielił okazać mu najmniejszy opór. Ten chlebiczek, który jadłem u niego na łasce, smakował bardzo gorzko. Ale zaczął zęby, byleby tylko szkołę ukończyć. Jedynem miłem roztargnieniem w tych szarych dniach dla mnie były początkowo twe listy. Przypadkowo wyczytał raz wuj z jednego twego listu twoje wspomnienia o minionych latach naszej błogiej swobody. Od tego czasu wzbronił mi wszelką korespondencję z tobą, a listy twoje wędrowały nieczytane do pieca.

Ukończyłem wreszcie szkołę leśniczą. Wujowi podziękowałem za opiekę, wysłuchałem jeszcze cierpliwie jego moralów, a potem pożegna-

łem jego ponury dom i poszedłem na praktykę. Przez trzy lata byłem w służbie u jednego nadleśniczego w okolicy Cieszyna, a następnie otrzymałem posadę samodzielnego adjunkta tutaj w rewirze. Mieszkam w ładnej leśniczówce opodal, trzymam starą matkę przy sobie i mogę powiedzieć, że mi jest bardzo dobrze. — Ale opowiedźże ty teraz swoje dotychczasowe przygody.

— Jak wiesz — rozpoczął nauczyciel — wstąpiłem do seminarium nauczycielskiego w Bielsku. I ja również spędziłem niejedną przykrą chwilę. Profesorowie, hakatyści-Niemcy, przybysze z Prus, dokuczali w niesłychany sposób kandydatom Polakom. Nie byli to ludzie w rodzaju Richtera albo Kottermanna, rodowitych Niemców bielskich, odnoszących się zawsze z pewną tolerancją do Polaków. Zaciekle, wstrętne Germany najpodlejszej krwi szwabskiej. Przy każdej nadarzającej się sposobności drwili sobie z wszystkiego co słowiańskie. Nasze polskie nazwiska śląskie, stroje naszych matek, mowa naszych rodziców była przedmiotem ich jadowitych drwin. Byliśmy wystawieni na różne szykany, kiedy to koledzy-Niemcy cieszyli się ich względami i protekcją.

Możesz sobie przedstawić, jakie trudności robiła nam nauka w obcym języku. W szkole wydziałowej mógłś się wyrażać jako tako, bylebyś tylko pokazał, że znasz rzecz i wyuczyłeś się wyrażać jako tako. W seminarium zaś żądały przybłędy szwabskie od Berlina takiej dokładnej znajomości języka niemieckiego, czy to pod względem akcentu, lub też biegłości w używaniu wkwintnego wyrażania się, jakbyśmy byli wnukami Bismarka. Zato naukę języka ojczystego zaniedbywano konsekwentnie, planowo, uważano to jako przedmiot zupełnie podrzędny. Udzielano zaledwie cztery godziny nauki języka polskiego,

i to pomimo tego, że my Polacy przecież wszyscy mieliśmy kiedyś być nauczycielami w polskich szkołach wiejskich.

Znaliśmy dokładnie etymologię każdego pojedynczego wyrazu niemieckiego, ale nie potrafiliśmy, wychodząc z seminaryum, napisać polskiego zdania bez błędu ortograficznego. Znaliśmy doskonale biografie wszystkich Wilhelmów, Bismarków, poetów niemieckich, lecz nie wiedzieliśmy, w którym roku urodził się Mickiewicz. Wykuliśmy na pamięć wszystkie »becyrki« Wiednia, wszystkie prowincje państwa niemieckiego, znaliśmy takie »Schweriny, Sachsen-Coburgi i dyabli wiedzą, jak się to tam te karłowate księstwa szwabskie nazywały, ale gdyby się nas kto zapytał coś o Krakowie albo Warszawie, wiedzielibyśmy tylko tyle, że leżą nad Wisłą i były kiedyś osadami niemieckimi!

Często też przechadzałem się samotnie po tych miejscach, gdzieśmy razem błogie chwile spędzali, marzyli albo niewinne żarty wyprawiali. Nie masz pojęcia, jak boleśnie odczuwałem brak twego towarzystwa. Błądziłem po tych lasach i sąłazach, po tych alejach w zmroku letnich wieczorów, każde drzewo, każda ławka przypominały mi ciebie. Nie miałem się komu pożalić, powierzyć, bo jakoś nie mogłem tak wiernego przyjaciela znaleźć, jakim byłeś ty dla mnie.

Ukończywszy seminaryum, otrzymałem zaraz posadę nauczyciela pomocniczego. I tutaj doznałem nieraz gorzkiego zawodu. Wyszedłem z wymarzonemi ideałami w życie, a pierwsze doświadczenia zmroziły moje dobre chęci, moje gorące porywy młodzieńczego zapału. Byłem świadkiem rozdrożeń i różnych zaciętych nienasiek między nauczycielstwem samem, zwłaszcza między starszymi a młodszymi, nie mogącymi lub niechęcącymi się zrozumieć, widziałem, jak niejeden kierownik traktował »podnauczy-

ciela« jako zwykłego terminatora, jemu podległego, przyciskał do ściany, że tenże musiał szukać obrońców wśród chłopów, z czego tylko nieprzyjaciele szkoły i nauczycielstwa — a takich jest, jak wiadomo, wszędzie bez liku — się cieszyli.

Jeszcze bardziej przygnębiło mię, że lud poniekąd traktował wartość osoby nauczyciela nie wedle jego pracy w szkole, tylko wedle tego, czy też nauczyciel potrafi się zabawić przy kieliszku w gospodzie, czy umie się umizgać do dziewcząt wiejskich, czy umie się spoufalić z byle kim w gminie i przepić »bruderschaft«, a przede wszystkim, czy dba o ustawowo-obowiązkowe regularne uczęszczanie dziatwy do szkoły, zwłaszcza »pasterzy«, bo od tego nieraz wyłącznie zawisała jego »popularność« we wsi. Wyraźnie zaznaczam, iż te stosunki nie są regułą, są raczej rzadkością, ale istnieją w niektórych zacyfanych gminach.

A już największe upokorzenie spotyka nieraz nauczyciela przy wyborze na stałego nauczyciela lub kierownika przez wydział gminny. O tem możnaby całe tomy smutnych i ponurych historii napisać.

Tak opowiadał nauczyciel z goryczą, a adjunkt smutnie głową kiwał.

— Wierzę ci — rzekł, — że nauczyciel ocierać się musi nieraz o podłość, złość, nienawiść, bezgraniczną głupotę pojedynczych osobników z jednej, a o wyniosłość i dumę swych przełożonych z drugiej strony. Natrafisz mój ty kochany i tu w tej cichej wiosce takie jednostki. Lecz co masz robić? Musisz wiedzieć, że życie człowieka jest ciągłą walką. Każdy zawód ma swe bolączki, jeśli nie te, to inne. Tak było, jest i będzie.

— Powiedz mi mój drogi — pytał nauczyciel — jakich ludzi będę tutaj miał, z jakimi be-

dę musiał się stykać, jednym słowem, scharakteryzuj mi miejscowych wieśniaków.

— Na ogół to dobrzy ludzie — rzekł po namyśle adjunkt. Są indywiduala pod względem moralnym mniej wartościowe, podstępne, fałszywe i złośliwe. Ale to tylko wyjątki. Poza tem ludek tu cichy, pracowity, pobożny, dobroduszny, a jedyną jego wadą jest, iż niekiedy zajrzy za głęboko do kieliszka. Ale to jest u niejednego jedyną rozrywką w tem mozolnem, ciernistem życiu. Kobiетки swoją drogą lubią ploteczki, ale gdzież to te babki nie miały na ozorach? Musi już to być ich przeznaczenie. Zresztą na czem spoczywa cała polityka narodów, jeżeli nie na ciągłych plotkach i intrygach? Fiu, to już tam masz wszędzie, jak u tych wielkich, tak u tych małych.

Jest tu na przykład taki wójt, typ wzorowego wieśniaka pod każdym względem. Rolnik to stateczny, świątły, poważny, uprzejmy i rzetelny dla każdego. Dorobił się przez pracę i oszczędność pewnego majątku, a dzieci wychowuje wzorowo. Z tym możesz żyć w najlepszej przyjaźni. Wielu innych gazdów są jemu mniej więcej podobni. Tacy ot sobie zadowoleni, poważni. Oprócz nich masz i uczciwych chałupników, zagrodników, wymowników lub skromnych i nieśmiałych komorników.

Są tu atoli także marne »charaktery«, przed którymi cię bardzo ostrzegam. Taki Herniok to przykład odrażający wieśniaka fałszywego, nieszczerego, zdradliwego, wiecznie z ukrycia na cię czyhającego. Przytem ciemny, zacofany a tak głupio nadęty, aż śmiech bierze. Ma on sobie podobnych i między »siedlakami« lub tymi biedniejszymi. Zwłaszcza ci ostatni odnoszą się do inteligencyi z niepokonaną nienawiścią, w tem błędnem zapatrywaniu, jakoby każdy urzędnik należał do jego pijawek.

— Wspomniałeś wszystkich we wsi, a o jakim Sikorze, któregom wczoraj spotkał, i który wedle opisu furmana należy do najbogatszych i najuczciwszych gazdów, aniś nie pisał.

Adjunkt się zarumienił, jego oczy zapłonęły a przez usta przeleciał mu słodki uśmiech.

— Twój furman go znakomicie opisał, ja nie mogę nic więcej dodać — rzekł, utkwivszy zażenowany wzrok w ziemię, aż się nauczyciel nad nim zdziwił.

— Pono że ma mieć śliczną córkę, — nacie-
rał teraz nauczyciel na przyjaciela z miną inkwi-
zytora.

— A któż ci o tem plótł?

— Żaden mi o tem nie plótł, tylkoś się sam teraz swoją minką zdradził. No, gadajże, jak się ma rzecz z tą dziewczyną. Opisujesz wszystkich, a ją pomijasz. Jakże jej na imię?

— Phi, kiedy ci to może obojętne!

— Patrzcie, co za borsuk z niego! No to mów, jakie u niej oczy, usta, uszy, czy wysoka albo mała?

— Kiedyś się najprzód pytał o imię, — rzekł z cicha, z miną pokorną.

— Więc jak jej na imię?

— Oczy ma fiołkowe, — wykrztusił nar-
reszcie młodzian.

— Widzicie go! Ona fiołkowe, a on błę-
kitne! To ci się znowu zebrało pudełko do farb. Tyś rumiany, a ona może blada, co?

— A jest jej Hela na imię, — zwierzał się Karol dalej.

— Hela? To będzie wysoka, smukła, jak wszystkie Hele!

— Powiedziałeś! Smukła, jakby z greckiego marmuru wyciosana — bogini! Boże, jaka ona zachwycająca! — I tu rozpoczął adjunkt z takim niepohamowanym zapałem, z takim entuzjazmem opisywać jej wdzięki i zalety, że nauczyciel od-

razu poznał, iż przyjaciel jest po uszy zakochany. Jego serce gorzało świętym ogniem pierwszej miłości.

— I jakiż stosunek jest między wami? — badał dalej nauczyciel.

— Otóż właśnie wspomniałeś to, co mię wiecznie dręczy i niepokoi, co mię napełnia niekiedy wprost rozpaczą, — odparł Karol.

— Wyraźże się jaśniej!

— Ano, stoimy do siebie tak: Ja ją ubóstwiam, zbliżam się do niej jak do świętej, z dreszczem w sercu, z uczuciem bezdennej miłości, zachwytu, podziwu i czci. Ona zaś wita mię jak brata, jak jakiego przyjaciela i powiernika, z serdecznym uśmiechem, a niekiedy to jej głos, miły jak dźwięk srebrnego dzwonka, z lekka drży. Jestem w rozpaczliwej niepewności, czy żywi do mnie tylko uczucie braterskiej przyjaźni, albo czy też zapaliła się choćby iskierka miłości w jej sercu do mnie.

— Jakże odnoszą się jej rodzice do ciebie?

— Rodzice lubią i szanują mię nadzwyczaj. Okazują mi to na każdym kroku. Jestem przekonany, iż z ich strony nie potrzebowałbym się obawiać żadnych przeszkód, gdybym się wreszcie ośmielił prosić o jej rękę.

— Jest sama na rodzie?

— Tak. Jedynaczka. Przytem wcale wykształcona, z przeciętną edukacją córek miejskich.

— No to dlaczegoż się dotychczas nie oświadczyłeś o jej rękę?

— Boję się! Boję się ogromnie, że mi odmówi, a tegobym naprawdę nie przeżył.

To rzekłszy, rzucił się nauczycielowi na szyję, a z jego piersi wydarło się takie bolesne i gwałtowne łkanie, jakie chwilowa rozpacz wywołuje u człowieka z chorą duszą. Nauczyciel

był również przejęty bolem przyjaciela, tak, iż nie zdołał ani słówka pociechy wypowiedzieć.

Kiedy Karol łyzy otarł i cośkolwiek się uspokoił, wziął go Wiktor pod ramię i poszedł z nim zwolna w poprzek polany. Nie mówili nic do siebie, posuwali się milcząco naprzód. Gdzieś tam w gąszczu zakwiliła jakaś ptaszyna, która spóźniła odlot w ciepłe kraje, rzewnym głosem, jakby z żalu nad tem, iż ją towarzyszki samą tak pozostawiły. Strumyk, przerzynający polanę, szemrał również jakos tak cicho, sennie i smętnie; niekiedy zaszemrał i westchnął las w lekkim podmuchu, a tylko miłe słońce jaśniało pogodnie na niebie, igrając tęczowymi promykami w drgających nitkach pajęczych, rozsnutych ponad główkami traw i zielsk wzdłuż polany.

Stanęli przed leśniczówką. Domek drewniany, miluchny, na białem, murowanem podłożu, z artystycznie wyrzeźbionym szczytem, z jasnymi okienkami i smukłym poddaszem. Weszli do pokoju, umeblowanego skromnie lecz gustownie. Zielono tynkowane ściany zdobiły rosochate rogi jelenie, strzelby i różne przyrządy myśliwskie. W okienkach chwiały się śnieżne firanki. Zielony mur szemrzącego lasu zaglądał przez nie do wnętrza.

Drzwi się otworzyły, a do pokoju weszła kobieta w podeszłym wieku, z łagodnym wyrazem na zmarszczonej twarzy. Była to matka adjunkta. Przywitawszy serdecznem uściskiem dłoni nauczyciela, rozpytywała się go o powodzeniu, o latach minionych i wspomniała niejednen szczegół z jego lat studenckich, kiedy to tak często bywał jej gościem wakacyjnym.

Potem zlustrowali całe obejście wraz z małą obórką i stodółką, mały ogródek przed oknami, drzewka w ogródku, dwa ule pod starą rozłożystą lipą, wreszcie zajęli miejsce na werandzie.

Rozmawiali swobodnie o codziennych rzeczach, o polityce w świecie, o wzajemnych przygodach, nie wspominając już ani słówkiem o Heli, a matka zakrzętała się około gotowania obiadu dla gościa i syna.

Po obiedzie siedzieli we troje długo pod lipą, która od czasu do czasu kładła złote listki pod ich stopy. Nauczyciel rozmawiał dużo z matką, Karol ograniczał się do potakiwania głową, tu i ówdzie rzucił jakieś słówko, poza tem patrzył rozmarzonym wzrokiem w polanę, ozłoconą blaskami skośnych promieni słonecznych lub utkwiał oczy w mroczną smugę okalającego ich boru. Z uli wylatywały leniwie pszczołki, dzwoniły koło ich usz, a tylko niektóre puściły się na polanę, ogołoconą z kwiatów, by po chwilce smutne bez miódka do ula powrócić.

Urocza cisza wokoło, zewsząd milczenie boru, przerywane niekiedy przygłuszonym stukaniem dziecięcia lub bekiem sarny. W ogrodzie kwitły ostatnie róże, napełniając powietrze balsamicznym zapachem. Żaden głos nie dochodził z poza lasu, nic nie zdradzało życia wsi, leżącej za borem. Przed drzwiami grzały się w słońcu dwa charty szlachetnej rasy, przed obórką pasła się laciasta krówka z cielęciami, a na szczycie mył się czarny kot.

Kiedy się już miało ku wieczorowi, pożegnał się nauczyciel z matką przyjaciela. Musiał jej przyrzec, iż częściej będzie zaglądał do cichej leśniczówki. Karol, zarzuciwszy strzelbę przez ramię, odprowadził go w towarzystwie chartów aż na brzeg lasu, skąd ujrzeli domki wioski i gdzie dolatywały pierwsze głośnie echa z pól i wsi ożywionej.

— Bywaj zdrow, a pamiętaj, byś w najkrótszym czasie zawitał do mnie do szkoły! — rzekł nauczyciel do przyjaciela przy pożegnaniu.

IV.

Pierwsze wrażenia.

Sikora spoczywał po obiedzie w altance ogrodowej. Naprzeciw siedziała żona, kobieta czerstwa, rumiana, z energicznym wyrazem twarzy.

— Dziśka jeszcze trza po południu na łakach trowe zesiec — rozpoczął Sikora pogadankę gospodarską.

— Żeby jeny jaki pluty nie przyszły — zauważyła Sikorowa. — Jak też potem zacznie cędzić, to nie ustanie aż za miesiąc. Zwykle tak bywa ku jesieni.

— Podziwej sie do kalendórza, kiej ty święta żydowski przypadają. Jak już to czechmaństwo przydzie, zawsze pultaczka.

— Święta żydowski za dziesięć dni — rzekła gospodyni. Do tego czasu trza koniecznie siano zwieźć, inaczy zgnije jak łośkiego roku.

— A szkodaby go było, bo drogi. Bezmali idzie w mieście po trzy reński.

— Po sianie zaś hónem kopaczki. A nad potokiem trza spodorać owsisko. U Setnickigo już wszycko spodorali.

— Setnicki sie śpiecho, bo robi cerze wiesieli -- zauważył gospodarz.

— Rychtyk! Dyc oto w niedziele wynda ogłoszki.

— Chłop bee miał kłopot z wiesielim, bo grejcara w domu nima. Eszcza mu ta stodoła na wiosne zgorzała.

— A czy to potrzebuje taki hyrne robić? Bezmali bee dwacet por do stołu. Ale jo tu z tobą fułą a robota stoi. Pewnie tam dziewczki w chałupie robią zbytki, zamiast roboty patrzeć. — To rzekłszy, sprzątnęła gaździna ze stołu talerze, garnki i łyżki i pobiegła żwawo w stronę domu.

— A powiedz tam Jurowi, aż kose poklepie

— zawołał za nią Sikora. Tymczasem rozłożył się wygodnie na ławce, zdjął kapelusz, bo mie jakoś ciepło zabyło, rozłożył przed sobą na stole »Rolnika Śląskiego« i jął uważnie czytać.

Słońce siało lube blaski pomiędzy wyrzeźbione sztachety i deszczułki altany, igrało w bujnym liściu wina, oplatającego altankę w ciemnozieloną, chwiejącą się szatę, kładło na stół złote, drgające plamy, niekiedy zaszumił chłodny wietrzyk w drzewach ogrodowych, zaszeleścił w trzepocących się listkach i przywiewiał odurzającą woń z wysokich krzaków różowych, stojących opodal w długim rzędzie. Ponad każdym krzakiem błyszczała bania szklana, odbijając w sobie cały okoliczny krajobraz z malutęnkim słońcem. Ile bań nad różami, tyle małych słońc paliło się w rzędzie, w zielonych, różowych, złotych, srebrnych lub fioletowych promykach, stosownie do koloru szkła bani.

Sikorę poczęła w tej ciszy południowej zwolna ogarniać jakaś mdłość. Litery w gazecie poczęły mu przed oczyma podskakiwać, wykrzywiać się i zlewać, a powieki zapadały niby ołowiane pokrywki na znużone oczy. Wietrzyk szeptał wciąż coś w liściu, jakaś zbłądzona pszczołka brzęczała żałośnie pod daszkiem altany, z podwórza dołatywały słabe odgłosy gwarzącej czeladzi, a upajająca woń z ogrodu na dobrze odurzała jego zmysły.

Ale się zagnęła ocknął, bo drzwiczki u wejścia do ogrodu z cicha zaskwierczały. Podniósł głowę i ujrzał nauczyciela, posuwającego się zwolna aleją różową. Sikora, poprawiwszy prędko kołnierz od koszuli pod szyją i przyglądziwszy zlekka szpakowate włosy na głowie, wstał i wyszedł na powitanie przybyłego.

Nauczyciel poznał od razu w gospodarzu owego poważnego wieśniaka, którego w drodze, siedząc na furze, przed wsią był spotkał.

— Dyć my sie już panie rehtór z widzenia znómy — rzekł Sikora po krótkiem pozdrowieniu.

— Tak, tak. — odpowiedział nauczyciel, rozglądając się z widocznem upodobaniem po ślicznym ogrodzie. — Właściwie mi was już Gaszczyk dokładnie opisał. Widzę na pierwszy rzut oka, że furman wcale nie przesadzał. Bo też to śliczne domostwo macie gazdoszku, a już ten ogród to specjalność! Rzeczywiście wspaniałe!

Sikora uśmiechnął się, czując zadowolenie i pewną dumę w sercu z powodu uznania nauczyciela.

— Chwola panie rehtór, a eszce nic nie widzieli — rzekł.

— Ależ to już z dala przedstawia się wszystko jak na obrazku — dodał nauczyciel. — Możebyscie byli tak łaskawi a oprowadzili mię po ogrodzie.

— Ale ja, czemu ni, jeny pójdą se łoto zaroz za mną, — rzekł Sikora, zadowolony z tej propozycji.

Przechadzali się więc po rozległym ogrodzie. Najprzód obeszli część, gdzie stały w rzędzie starannie pielęgnowane drzewa owocowe, których gałęzie uginały się pod ciężarem dojrzewających owoców. Następnie weszli w szkółkę drzew, również wzorowo utrzymywaną, minęli trzy olbrzymie lipy, stojące w rogu od strony północnej, zajrzeli w ule, roztolicznie nabarwione, przeszli przez część ogrodu, obsadzonego wyłącznie kwiatami, zdobnymi krzakami i różami, a kiedy skręcili w miejsce, gdzie rosły warzywa, zetknęli się znienna z córką gospodarza.

— Aha, a dyć tu Hela cosik szyple. Toż to je moja cera, panie rehtór, a to łoto — wskazując palcem na gościa — są ten nowy pón rehtór, rozumiesz, co to bezmali tak na dródze przed Bachrakiem pięknie na klajwierz u grali.

Nauczyciel skłonił się nisko. Od razu zauważył po gestach i pierwszych ruchach dziewczyny, iż ma do czynienia z osobą towarzysko oglądaną. Zajrzał też ciekawie w rysy jej twarzy, aby się przekonać, co właściwie u tej dziewczyny smukłej, przystojnej, było w stanie zapalić serce jego biednego przyjaciela Farnika. Ano, rzeczywiście piękność niepospolita. Przedewszystkiem te »fiolkowe oczy«! Patrzyły przed siebie zamyślane gdzieś w bezgraniczną dal, a kiedy nauczyciel spojrział głębiej w te przezroczyste źrenice, poczuł w powietrzu jakby zapach fiołków. Trzymała kanwie w ręce, a podawszy nauczycielowi prawicę, uśmiechnęły się jej korallowe usta, z pomiędzy których zabłyszczały śnieżne ząbki. Jej jasną, bladawą twarz okalały bujne kosmyki brunatno-kasztanowych włosów.

— Pono pan nauczyciel ślicznie na fortepianie gra — rzekła dźwięcznym głosem. — Opowiadała mi już stara Baszczyńska, którą wczoraj cały wieczór pod oknem podsłuchiwała. Nawet się baba zaziębiła.

— Nie wiem, czy warto nabawiać się kataru dla mej muzyki — odparł nauczyciel.

— Jużci, warto, skoro taka Baszczyńska się nabawia. A nawet się cieszy, że wieczór znów zakradnie się pod okno. Wybiera się już cała hurma dziewcząt z chłopakami na ten koncert wieczorny.

— Bo też to je co libeznego tak pięknie na czem zagrać — wtrącił gazda. Ale pójdą panie rehtór dali, pokożę im mój dobytek.

Nauczyciel się znów uklonił, Heła dygnęła wdzięcznie i rozstali się.

— Toż łośto je stodoła. Nowo je, boch ją postawił przed pięcioma rokami. A tam dali przystawiony je chlew, dali szopa na inwentarz i drzewnia.

— Bardzo ładne, gazdoszku! — chwalił zachwycony nauczyciel. — A jakie to śliczne bydelko macie! Spasne, czyste, dobrze pielęgnowane i o ile się na tem znam, doskonała rasa, no jednym słowem wzór pod każdym względem.

— No, no — zaśmiał się uszczęśliwiony Sikora. Dyc' aż za mocka chwołą. Je prawda, że sie człowiek narobi, naharuje, ale też mo chocioż jaką ucieche, jak sie na to wszycko podziwo. Na mu duszu, panie rehtór, jak se tak z moją starą w niedziele po połedniu obejdę całe gospodarstwo, to się mi zdo, że bodej cesorz we Wiedniu je szczęśliwszy. Byleby jeny pónbóczek łaskawie uchronił od jakigo nieszczęscio. Ale pójdą panie rehtór dali, oto do budynku, dyc' im muszę pozozać moją starą, he, he, he.

Przeszli brukowane podwórze, mijając czeladź, przypatrującą się ciekawie nauczycielowi. Weszli w szeroką, widną sien.

— Jewka, hej, słyszysz? A pójaw, tu są ten nowy rehtór!

Z kuchni wyszła Sikorowa w białym fartuchu, rozpalona w twarzy od gorąca z pod blachy.

— Nale losmiłowanio kany — słożyła ręce — tóż to oni są? Tóż pięknie witóm, panie rehtorku, przeboczą, zech też tak jeno po domowemu je ubrano. Weź ich też tam stary do świetnicy. Proszę bardzo, dyc' jeno idą, spoczną se na chwile.

Zasiedli w izbie gościnnej. Okna wychodziły na ogród. Widać było przez nie w dalszą, w lubem słońku mieniącą się okolicę aż het tam na cały rozległy łańcuch niebieskich Beskidów. W oknach zieleńiły się żaluzye, stały w wazonach kwiaty, na ścianach powieszane były obrazy, fotografie, w rogu na stoliku stała figura Matki Boskiej, różami przyozdobiona, sprzęty połyskujące, świadczące o dobrobycie właściciela, w środku stół kwiecistym obrusem z jedwabnej ma-

teryi utkanej nakryty, około stołu wysokie, aksamitem obite krzesła, pod lustrem szeroka kanapa, na podłodze pliszowe dywany rozłożone, jednym słowem komnata wykwiłtna, jaką u majątniejszych gospodarzy śląskich często można widzieć.

— Jakże to tu u was miło i przyjemnie — rzekł nauczyciel.

— To tak człowiek mo w domu dlo tych lepszych gości. W oknie zaśpiewał znienacka kanarek w klatce.

— Aha, — zawołał gazda. — Bee pogoda, bo se tak libeźnie nuci. A łoto barometer pokazuje na dobre czasy. Trzeba ich!

Po chwilce weszła gospodyni z dużą tacą, obładowaną butelkami, szklankami, chlebem, masłem i wędliną.

— Pozwolą panie rehtór sie obsłużyć — prosiła. — Jeny sie też nie dają pytać a pojedzą se. Stary, nalej im piwa do szklonki.

Rozmawiali o różnych rzeczach, o gospodarstwie, stosunkach w gminie, o świecie i polityce, a z wywodów gazdy nabrał nauczyciel przekonania, iż Sikora należy do gazdów, odznaczających się prostym, trzeźwym rozsądkiem, zdobytem doświadczeniem i lekturą z książek i gazet, poznał, że u tego rzetelnego wieśniaka łączy się dobre, poczciwe serce z kulturą umysłu. Nauczyciel zachwycał się wprost jego prostodusznymi a przytem tak nieskazitelnie zdrowymi poglądami na życie i świat.

Po krótkiej pogadance pożegnał się nauczyciel z gospodarzami, zamierzając jeszcze złożyć wizytę księdzu proboszczowi w sąsiedniej gminie. Wieś bowiem, gdzie miał uczyć, należała do owej parafii. Sikora odprowadził go aż na drogę, wskazując mu dokładnie gościniec na probostwo.

Poszedł więc drogą pełną do sąsiedniej wsi. Spotykał ludzi, pracujących żwawo przy sianozęciu.

— Boże pomagaj! — pozdrawiał.

— Dej Panie Boże! — odpowiadali.

Nawinął się skądś i Herniok z grabiami. Miał na sobie tylko portki gliniaste, koszulę, pod szyją szeroko rozwartą, a na głowie słomiany kapelusz z postrzępioną strzechą. Zobaczywszy nauczyciela, wykrzywił szyderczo usta, strzyknął śliną przez przednie wytlane zęby i rzekł:

— Kanyż wałą?

— Idę do księdza proboszcza — odpowiedział nauczyciel, widokiem zarozumiałego chłopca i gburowatą jego mową niemile dotknięty.

— Bedą tam tela chodzić do fardoża! — rzekł Herniok pogardliwie. — Lepi się oto kosy chyca, a pomogą chłopom, co muszą na takich darmożjadów pańskich ciężko robić. Aspoń się na co przydają.

— Bylebyście jeno siebie i rodzinę swoją pracą utrzymać zdołali — odciął nauczyciel z sarkazmem.

— No, no, dyc nie tak gorąco, rectorczyku! — odparł Herniok z pewnem zakłopotaniem w zarumienionej twarzy. — Idą se oto miedzą, jako hanej ten chłop kopki stawio. To je Buryjan, mój sąsied, co sie z nim już trzy roki o granicę sądze. Jak pójdą kole niego, to go nie pozdrowią.

— Już ja tam wiem, co mam zrobić — odrzekł nauczyciel. — Bywajcie!

— A wieczorem stawią sie do gospody — zawołał jeszcze Herniok. — Dają co wypić, bo jak ni, to im przy wolbie na rectora głosu nie dom.

Przechodząc koło Buryana, zagadnął go tenże z ciekawości:

— A cóż to tam ten grondol tela na mnie pokazował panie?

— Nic takiego. Kazał was tylko pozdrowić.

— A toć musi być chyba oźrały! — zauważył Buryan grubiańskim głosem. — Tenby kogo kozoł pozdrowić? Dyc on żywemu mortwemu nie do spokoju.

I już chciał nauczycielowi dokładnie cały swój spór z Herniokiem opowiedzieć, ale go nauczyciel krótko zbył słowy:

— Opowiecie mi to innym razem, teraz muszę się pospieszyć do księdza.

— No to idą, a jutro do nich przydę i wszystko im wyłożę.

Wszedłszy do kancelaryi parafialnej, zastał proboszcza, staruszka smagłego z chudą, wyrazistą twarzą, wykładającego właśnie jakiejś młodej parze, przygotowującej się do stanu małżeńskiego, zasady cnotliwego pożycia chrześcijańskiego.

— Proszę Pana na chwileczkę usiąść na kanapie — ozwał się do wchodzącego, utrzymując, iż ma z jakimś jegomościem z miasta do czynienia. Następnie zwrócił się do młodych z następującymi pytaniami:

— Powiedzże mi ty, Zusko, uczyłaś się przecie w szkole: Kto ustanowił małżeństwo?

— Małżeństwo — rzekła Zuska cichuteńko — ustanowili wielebny pón.

— Ależ dziecko — powiedział duchowny — to nie ja ustanowiłem, ale ktoś inny, wyższy odemnie. No może ty, Jurek, wiesz?

— Biskup! — palnął młodzian bez namysłu.

— Pan Bóg, dzieci! Sam Pan Bóg, pamiętajcie! — objaśnił ksiądz. Dalej: Któż może rozwiązać małżeństwo? No, Zusko, powiedz!

— Jo ... nie wiem — rzekła dziewczyna. — Może Jurek wie, bo wyszedł z drugi klasy.

— Tak powiedz, Jurku!

— Zuska to zawsze mądro, kaj nie trza to rozummy wysypuje, a na farze to mie kazuje mówić — oburzył się Jurek.

— Ano dzieci — rzekł ksiądz z łagodnym uśmiechem, przyjdźcie wy jeszcze raz w przyszły piątek, a objaśnię wam to wszystko. Ale się po drodze nie pokłóćcie, pamiętajcie, że zapowiedzi już wyszły. A bądźcie cnotliwi aż do ślubu! Nie dajcie się skusić. Idźcie teraz.

Zwróciwszy się zaś do nauczyciela, zapytał:

— Czem mogę Panu służyć?

Nauczyciel przedstawił się proboszczowi.

— Dla Boga, a to dlaczegoż Pan nauczyciel zaraz się nie przedstawił? — rzekł z ubolewaniem.

— Proszę siadać! Jakże to ładnie, iż pan nauczyciel przybył, by »staremu fardożowi« złożyć wizytę.

Zacierał kościste ręce, poprawiał okulary, pochylał głowę w prawo i w lewo, przechadzając się w długiej sutannie po kancelaryi.

— Ładnie, bardzo ładnie — powtarzał. — A to taki jeszcze sobie młody, ładny facet z pana nauczyciela, rzeczywiście! Rzekłbyś, że jakiś student. Maryczko! — zawołał przez odchyłone drzwi na korytarz. — Słyszysz? He, mówię ci, przynieś butelkę tego lepszego z piwnicy! Spiesz się!

Usiadł potem naprzeciw nauczyciela, rozpoczynając rozmówkę wesołą, żywą, zapewniając, jak się z wizyty gościa cieszy! Wypili po szklance wina, zajedli cukierkami i zapalili cygara. W toku rozmowy ujął proboszcz rękę gościa i rzekł z powagą:

— Służę tutaj w tej parafii już przeszło trzydzieści lat Bogu. Udzielam dotąd w trzech okolicznych szkołach nauki religii. Stykałem się przez ten czas z wielu kolegami pańskimi i mogę powiedzieć, iż dzięki Bogu między mną a panami nauczycielami nie przyszło do żadnych poważniejszych nieporozumień. Jeżeli kiedykolwiek coś zaszło, coby mogło się stać powodem niezgody, tośmy otwarcie nasze zdania w spokoju wypo-

wiadali, a wreszcie przy dobrej woli obydwóch stron panowała zawsze harmonia i zgoda. Sądzę, iż tej zasady i my razem będziemy się trzymać, prawda?

— Mogę księdza-dobrodzieja zapewnić — rzekł nauczyciel wzruszony — iż pod tym względem mam najlepsze chęci. Wiem dobrze, że niezgoda uwłaczałaby nam obydwom.

— No to pij waćpan, panie »rektorze«! — zaśmiał się proboszcz. — Starajcie się, abyście posadę definitywnie uzyskali, a za kilka lat, jak przyprowadzicie mi tu jaką jasnogłówkę, to się też zapytam, kto małżeństwo ustanowił, ha, ha, ha!

Powstał, przeszedł się po kancelaryi, wreszcie zawołał znów przez drzwi:

— Maryczko? A gdzie tam jaka przekąska? Mówiłem ci przecie o wędlinie!

Kiedy już słońce zachodziło, odprowadził proboszcz nauczyciela pod samą szkołę miejscową. I tutaj zgłosił się nauczyciel u kolegi-sasiada, starego kawalera, człowieka pracą i wieczną troską zbitego, życiem znużonego. Był to niepoprawny pesymista. Narzekał na cały świat, wszędzie widział sobie niechętnych, biadował nad stosunkami szkolnymi, nad przełożonymi, nic mu nie odpowiadało, wszystko go mierzało.

Powiadam wam, kolego — wynurzał boleśnie swe poglądy — że lepiej tłuc kamienie na drodze, niż pracować w zawodzie nauczycielskim! Ile to kłopotów, ile przykrości, ile złośliwości doznaje człowiek ze strony tych chłopów! Żal mi was, koleżko, ale muszę wam powiedzieć, że lepiej byłoby się wam za szewca albo bednarza uczyć, niż za tego mizernego rektorczyka. No, ale stało się. Wychylcie z kielicha na tę naszą biedę!

— Na zdrowie!

— Niech służy! Zapalcie oto papierosa, nieboraku! Bo wam też czert poświecił uczyć się za »rektora«.

Wieczór już był, kiedy nauczyciel wracał do swojej wsi. Okna w chatach i domkach były jasno oświetlone, rześiste blaski padały strugami w sady, oświetlając czuby drzew, z obór i stodół odzywały się śmiechy, krzyki, nawoływania i klótnie czeladzi, kwiczały prosięta, tam porykiwały krowy, a największy harmider wyprawiały psy. Z kominów snuły się dymy, opadały na ziemię, pełzały wzdłuż pustych zagonów, wierząc nozdrza ostrym zapachem. Na zachodniem niebie dopalały się resztki wieczornej zorzy w wydłużonych, fioletowo-purpurowych smugach. Miliardy gwiazd drżały na ciemnym firmamencie.

Również i z okien gospody były jasne blaski. Nauczyciel, chcąc się zapoznać z wieśniakami, postanowił wstąpić do szynku. Gdy otworzył drzwi, buchnęła mu w twarz ciężka atmosfera, przesiąknięta dymem z fajek i oparami wódki. Równocześnie przycichł z nagłą przeraźliwy gwar i zgłęb, bo wszyscy, siedzący na ławkach wzdłuż ścian, spojrzeli z wielkiem zdziwieniem na wchodzącego nauczyciela. Na kilka sekund nawet powstała grobowa cisza, ledwo co dymiące fajki z cicha piszczały. Pierwszy ozwał się arendarz:

— A toć chyba kocur zdechnie, żeśmy takiego gościa dostali!

A już też ozwały się zewsząd głosy:

— Pięknie witomy, panie rektor, pięknie witomy. Pójdą se z nami siednąć. A dyć to rektor musi z chłopami dzierżeć, kiej między nimi żyje i te gidy nasze ćwiczy.

W środku izby siedzieli za stołem, białą serwetą nakrytym, przedniejsi gazdowie, przeważnie wydziałowi, między nimi wójt Gawlas, pierw-

szy radni Sikora, dalej Herniok, Małysz, Gajda-
czek i inni.

— Pójdą se panie rehtór siednyć, pójdą —
zapraszał wójt.

— Gospodzki — zawołał Sikora — a dyć im
podejcie stołek!

— Na dyćby se mógł oto bai na stolicy sie-
dnyć — tak Herniok.

— Nie dodziubuj wiecznie — zbeształ go Si-
kora. — Miej kapke moresu.

— Jak go ni mom, to niech mie go nauczy —
rzekł Herniok drwiąco. — Od tego je nauczy-
cielem.

Dejcie tam gospodzki piwa dlo pana rech-
tora — zawołał Sikora.

— A dyć przeca rehtór musi nas poczęsto-
wać — zaprotestował Herniok, spluwając bez-
ustannie na podłogę. — Musi się koło nas mieć,
inaczej go nie wybieremy »defyntywnie«!

— Byłoby to bardzo smutnie — rzekł wójt
— gdybyśmy rehtora jeny wtedy mieli definy-
tywnie wybierać, gdyby dowoł pić.

— A cóż wy fojcie więcej chcecie od takigo
rehtora, hę?

— A idźcie, idźcie z taką mową, wstyďte
sie — znieważył go Małysz. — Rehtór se będą
myśleć, że to tu są sami tacy oźralcy.

— O wy mądrocy! — zaczął Herniok wrze-
szczeć. — U mnie taki rehtór geltuje, co se
umie ze mną popić, a na posyłani pasterzy do
szkoły bardzo nie nacisko. Takigo rehtora po-
trzebujemy.

— Wy chcecie — ozwał się Małysz — żeby
z tego pasterza też taki wół wyrosł, jakoście
wy są.

— Nie pyskuj — uderzył Herniok pięścią o
stół. — Ty mie beesz ponauczoł? Joch do szkoły
chodził przez jedną zime i umiem sie w sądzie
podpisać i dobre. Poco mi lebo inszym chłopom

ta większo nauka? Downi szkół nie było, a też sie obeszło.

— Zato ćwiczył ciemnego chłopą dziedziec batem — zauważył wójt. — Możeby tako nauka i teraz dla Hernioka była lepszo. Zeszłoby sie pore takim zacofanym mamlasom.

— A co, lepi było za pańszczyzny! — twierdził uparcie Herniok.

— Toć lepszy, bo takim mądralom jakoś ty nejprzód dólrze biczem skóre na plecach wyśmigali, aż krew pluskała, a potem przyłożyli mu nasoloną mokrą chuste.

— No i cóż to mo ze szkołą i całą jakaśi oświatą do czynienio — zapytał drwiąco Herniok.

— To mo do czynienio, że jak chłop przez nauke się oświecił, schynał jarzmice i stał się wolny. Bo jeny ciemnego ugniatają, nigdy zaś takigo, co mo troche choćby nauki.

Na to już Herniok nic nie mógł odpowiedzieć. Splunął, otarł do rękawa nos, porwał się zaperzony ku drzwiom i wyszedł.

— Kieście takie pany uczone, to jo tu ni mom co robić!

— Toś już downo tak miół zrobić łazyngo — rzekł Gajdaczek. I dopiero teraz rozpoczęli się pozostali gospodarze z rehtorem przyzwoicie bawić.

V.

W warsztacie pracy.

Wpisy do szkoły; dzień przed rozpoczęciem regularnej nauki szkolnej. Nauczyciel siedzi w klasie, na stole przed nim jest przygotowana metryka szkolna. A już też idzie jakaś kobieta z dwoma dziećmi, z chłopcem i dziewczynką. Wszyscy w odświętnej odzieży. Chłopiec, nowicyusz szkolny, ma na głowie nowy kapelus z zielonym

sznurkiem. Kapelusz coś za duży, wpadł chłopcu na oczy, zatrzymując się ledwie na uszach. Szerokie, niezgrabne spodnie »cajgowe« utrudniają mu chód, że kroczy szeroko, przechylając się na boki, jakby chodził na szrudłach. Również i kabat nieszykowny, sztywny, krótki a szeroki. Ręce mu odstawają, niby z drzewa wyciosane. Na nogach ma buciki ze starszego braciszka. Tak wyprawiony tyrcka za matką, nadrabiając minką, chociaż mu tam w sercu bardzo ciąży, że to trzeba stanąć po pierwszy raz przed rektorem.

Dziewczynka wygląda o wiele zgrabniej. Ma na sobie jasną sukienkę, różowy fartuszek, na głowie kwiecistą chustkę, tylko nogi bose, bo brak jej starszej siostry, a zatem i obuwia od niej. Matka jednakże postanowiła, że na drugi dzień chłopiec pójdzie boso, a ona w jego bucikach.

Idą, a im bardziej bliżają się ku szkole, tem więcej zwalniają kroku, bo to i matka, biedna komornica, czuje się jakoś nieśmiało. Ociera też niekiedy ukradkiem łezkę, oto oddaje swoje pierwsze dzieci do szkoły pod opiekę nowego rektora. Czy też ten nauczyciel będzie miał z nimi cierpliwość? Czy nie będzie ich gorzej traktował od tych bogatszych? O gdyby on wiedział, z jaką czułością, wśród jakich ofiar ona, biedna, wychowała te dziatki! Jak jej do serca przyrosły! Bardzoby ją to martwiło, gdyby teraz obcy miał je lekceważyć albo, co gorsza, poniewierać.

Stanęli przed szkołą. Matka poprawiła chłopcu kołnierzyk u kabata, oczyściła chustką pyłem okryte buciki, pośliniła chustkę i otarła malcom jeszcze raz buzię, nos, wreszcie westchnawszy jeszcze raz głęboko i rzuciwszy jakby bezradnie wzrokiem wokoło, skrzyła do sieni, ciągnąc chłopca za rączkę, bo się począł zawzięcie opierać. Odezwały się odgłosy ich kroków w sieni. Kilka razy przycichło stąpanie, a potem znów poczęli się do drzwi zbliżać. Tu stali jeszcze kilka se-

kund. Matka przymawiała coś dzieciom po cichu i zapukała słabo do drzwi.

— Proszę! — ozwał się głos nauczyciela.

Nikt nie wszedł, a po chwili znów to słabe, nieśmiałe pukanie.

— Ale proszę dalej! — I dopiero teraz wsunęli się wszyscy trzej do klasy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Krystus — pozdrowiła matka. — No, Janiczku, weź przeca czopkę z głowy, a powiedz panu nauczycielowi pozdrowieni:

— Chłopiec wytrzeszczył oczy, usta poczęły mu drgać, a wraziwszy palec między wargi, rzekł:

— Pozdrowieni! — Boć przecież matka w drodze wciąż przykazywała, aż nie zapomni powiedzieć »pozdrowieni«.

— Ale tyś je macek — skarciła go zawstydzona matka.

— Dobrze, chłopczyku, bardzo dobrze — pogłaskał go nauczyciel po główce; za to dziewczynka o wiele rezolutniej wystąpiła.

— Pochwalon bądź Pan... Pan Jezus Krystus — rzekła śmiało.

— Jeszcze lepiej! — zawyrokował nauczyciel. — Mądre macie dzieci, matko!

— O mądre, mądre — ozwała się zachwycona kobieta z wdzięcznym uśmiechem. — Dyc łośto Agnieszka to już umie ziemioków naszkrobać, jakle se wyprać, jizbe zamieść, krowe odbyć a jak żech była w polu, to i obiod uwarzyła. Bardzo mi ji bee w chałupie chybieć.

— Patrzcie, patrzcie, — kręcił nauczyciel zdziwiony głową. — To pewnie i chłopiec taki sprytny.

— Nale mogą wiedzieć, panie rektorczyku! On im na każde drzewo, choćby było nie wiem jak wysoki, wylezie aż na som wyrch, a nowe gałaty to do tydnia stargo. Umie już też u gazdy konia za łopraty chycić, a baji na tej klaczy, co

gazda zeszłego roku w Białej kupili, już dość forremnie jeździ. I nie boji sie honcwót, że spadnie. Umie i patyków narąbać, soli u żyda kupić, ściane obielić, konie napoić, ja rychtyk, a do dziesięci to już też umie narachować. Jo nie wiem, na kogo sie to podało. Pewnie na mnie, bo mój stary to je taki mamlas, niemasny, niesłony.

— A jak tobie na imię, syneczku? — pytał go nauczyciel.

— Janiczek, panie rehtór — rzekła matka za chłopca — Janiczek Margieta.

— A czyji żeś ty je? — badał dalej.

— A mamulczyn — wybelkotało dziecko.

— Wybornie! — klasnął rehtór w dłoń. — Masz centa! A teraz mi jeszcze powiesz, jak się twój tata nazywo.

— Ale hanej świnia! — pokazał malec zachwycony palcem na obrazek ścienny. — Tako je jak naszo maciura!

Nauczyciel zadał teraz dziewczynce kilka pytań, na które śmiało i rozumnie odpowiadała. Potem wpisał w księgę daty urodzenia dzieci, nazwisko i imię rodziców i tem podobne szczegóły.

Kiedy już odchodzili, pocałowała dziewczynka nauczyciela w rękę, chłopiec zaś w kolano. Przed szkołą zgromadziły się już nowe grupki. Schodzili się ze wszystkich stron. Matki, zaglądnając ciekawie w okno szkoły, robiły sobie uwagi o nowym nauczycielu i szkole, rozmachiwały rękoma, gestykulowały żywo, poprawiały odzież na dzieciach i poszły całą kupą do klasy. Te bogatsze posunęły się z dziećmi ku samemu stołu, rozglądając się śmiało po klasie, żartując z nauczycielem, jakby codziennie z nim bywały, zato te biedniejsze ugrupowały się koło pieca, czekając pokornie, aż ich ktoś zawoła.

Nauczyciel zapisywał jedno dziecko po drugim, żądał wyjaśnień o stanie ich zdrowia, szczęścia, miejsca urodzenia, wtrącał tu i ówdzie

dowcipne uwagi, przez co odrazu spodobał się wielce kobietom. Kiedy odchodziły, wciskały w dłoń nauczycielowi jakąś monetę.

— Mają na kij, jakby żaby nie chciały posłuchać — mówiły.

— A przychyną jeny na galaty, bo to drzyki — rzekła jedna z surowym wyrazem w bystrych oczach.

— A jak co przeskrobia, dają nom znać, dóma jeszcze poprawimy.

— A zostaną tu z Bogiem!

— Mają sie dobrze!

— Żeby sie im tu na tem nowem miejscu poszczęściło!

A kiedy wyszły, przychodziły inne, i tak wciąż aż do wieczora przychodzili i odchodzili. Przed szkołą zaś, zbiwszy się w kupę, zdawały sobie sprawę z pierwszego wrażenia, jakie nauczyciel na nich zrobił.

— Szykowny chłop — było przeciętne zdanie. — Jaki bee dali, to sie eszcze nie wie.

— A do dzieci też mo widać miłość — tak drugie.

— I taki młody, mógłby se bai tu w dziedzi nie ożenić.

Nazajutrz zebrały się wszystkie dzieci w szkole, by pójść z nauczycielem na uroczyste nabożeństwo do kościoła w sąsiedniej wsi. Zrobiło się gwarno i wesoło w budynku szkolnym. Zdała dolatywał już głośny hałas od szkoły, niby z rojnego ula. Wszystkie były w nowej odzieży, umyte i wyczesane. Przychodziły ze wszystkich stron, w większych gromadkach, te małe w towarzystwie starszego ródzeństwa, niektóre niosły już tabliczki i książki z pewną dumą na twarzy, że to już mają chodzić do szkoły.

W klasie zbijały się do kupy, rozprawiając z powagą o szkole i nowym nauczycielu.

— Joch pierwszy z nimi mówił — chełpił się syn Gaszczyka. — Poglaskali mnie jeszcze po głowie i pedzieli, żech szykowny. A mój tata ich przywieźli.

— A moja mama dała im przy zapisie dziesiątkę — ogłosił inny.

— Moja im przynieśli wczora jabłek!

— Tata dali im krygiel piwa!

— Ale rehtorki eszcze ni mają — rzekł Margietów.

— Ni mają? — zdziwili się drudzy, nie mogąc sobie przedstawić rehtora bez rehtorki. Przecież ten stary rehtór, co przed feryami odeszli, mieli paniczke.

— Wy głupcy! — wtrącił się Hernioków Jura, chłopak gburowaty, nadęty, liczący trzynasty rok życia, uczeń z wyższego oddziału. — On też bee miał rehtorkę, jeny sie musi nejprzód ożenić! — Nie mówił już »oni«, tylko »on«.

— Ano ja! — rozjaśniło sie im w mózgownicach. — Ożenić sie musi z rehtorką!

— Jakóż sie bee żynił, kie w dziedzinie ni ma żodnej rehtorki — powątpiewał Paweł.

— O głupcy, głupcy! — kiwał wciąż Hernioków pogardliwie. — Jak se moją siostrę weźnie, to bee rehtorka! — Dopiero zrozumieli!

— A wiecie, że mają jakąsi szumną muzykę? — wtrącił ktoś z tyłu.

— Wiemy, wiemy. Zawsze wieczór grają na ni.

— A czyż też mają jaką trczinę? — badał Janek, największy urwisz z klasy.

— Trza sie chłopcy podziwiać za szafe.

I zaraz też pobiegli na katedrę. Podnosząc się na palcach, zaglądali poza szafy, skrzynie i stoliki, czy też gdzie nie ujrzą jakiego bata. Wtem wszedł nauczyciel do klasy.

— Pięknie witamy pana nauczyciela do szkoły! — wygłosili śpiewnie w chórze, aż w uszach

dźwięczało. Nauczyciel, stanąwszy na środku katedry, przywitał mile zebraną dziatwę, przemówił jej do serca, zachęcił do pilności, posłuszeństwa i cnoty w nowym roku szkolnym, a potem, ustawiwszy ich do par, podążył z nimi przez wieś do kościoła.

Ilekróć mijali lud pracujący w polu, uchylali chłopcy kapelusze, wołając: Boże pomogej! Boże was tu posil!

— Dej Panie Boże! A toć moreśne dzieci — mniemał lud. — Parcie jeny, jak ich to ten nowy rehtór już w pierwszym dniu wyuczył.

Następnego dnia rozpoczęła się regularna nauka. Ławki były szczelnie uczniami zapełnione. Nauczyciel podzielił klasę na trzy oddziały. Po krótkim wstępie rozpoczął lekcję. Oddał się z zapałem i werwą swej pracy, sercem i duszą zapuszczał się w istotę wykładanego przedmiotu, porrywał nieskazitelne dusze dziecięce ku sobie, roztopiał ich serduszka, formował je wedle swej woli jak figurki z wosku, a wszystkie oczka latały rozpromienione za nim jak za jakim objawicielem lub posłańcem anielskim.

Tu była jego pracownia, tutaj uszlachetniał te młode istotki, jego opiece powierzone. Jakże się przejmował swem wzniosłem zadaniem, jakże zachwycał się swem powołaniem!

Tam za oknami widniały jasne pola, barwne sady, białe domki, w dali uwijał się lud po rolach, przechadzało się bydełko swobodnie, a słońce oblewało to wszystko płomiennym żarem, olśniewało jarzącymi światłami i zapuszczało także przez wysokie okna w klasę skośne pasy promieniste, odbijając się w mieniących się szklach obrazów ściennych i w klasie zapanował nastrój tak miły i serdeczny, że aż duszę coś rozpie-rało.

O godzinie trzeciej wypuścił dziatwę ze szkoły. Usiadł w swym cichym pokoju i dopiero teraz uczuł ogromne zmęczenie. Pomimo tego był

bardzo zadowolony. Jakże to miło było odpocząć teraz po tej żmudnej pracy w kąciku swej kanapki, zapalić papierosa i zapatrzeć się beczynnie w te modre, wirujące kręgi dymu.

Wyszedł na przechadzkę, puszczając się miedzami prosto ku wzgórzu, wznoszącym się na południu od wioski. Stamtąd chciał się przyjrzeć dalszej okolicy. Wyszedł na sam szczyt wzgórza i napotkał niespodzianie Sikorę z córką.

— Boże pomóż! — pozdrowił! — Jak widzę, stawiacie siano w kopki. Czyż i tutaj wasze łąki?

— Ha, pięknie się wita, panie rehtór. A kaj się tu wzięli?

— A tak sobie wyszedłem, by rozglądnać się po tym Bożym świecie.

— Wierzę, wierzę — zauważył Sikora. —
— Bo też to po tej żratwie z temi dziećmi człowiek musi odetchnąć.

— Powiedźcie mi, mój kochany — spytał nauczyciel — w której to stronie mamy Cieszyn? A gdzie się to tam kurzy? Cóż to za wieś hen za lasem?

— Ho, ho, ho, panie rehtór — zaśmiał się Sikora. — A dyć jo nic nie widzę, bo te moje oczy już kiepski. Pokoźże im Helo te stróny, wszak wiesz, kaj jaki dziedziny są.

Hela zapłonęła w twarzy. Odłożyła grabie, odsunęła luki włosów z czoła, a podawszy śnieżną rączkę nauczycielowi, rzekła z czarownym uśmiechem w oczach:

— To ja muszę koniecznie panu »rektorowi« udzielić teraz nauki z geografii miejscowej.

— Bardzo będę pani wdzięcznym!

— Niechże się pan popatrzy ponad te góry na zachód. Między wierzchołkami dwóch świerków widać koniec wieży, widzi pan?

— Widzę!

— To jest kościół ewangelicki w Cieszynie. A tam na północy, gdzie ta rudawa smuga dymu się unosi, jest rewir węglowy.

— Aha! Żem to zaraz nie rozeznał. A gdzie leży Ustroń?

— To musi pan oto za tę sosnę pójść — rzekła. Zawrócili i poszli kawałek za łąkę, gdzie się szczyt wzgórza schylał ku przeciwległej stronie. Stąd zobaczyli przed sobą całe pasmo roz-wlekłych, różnie ukształtowanych wierzchołków lesistych, Beskidów, przedstawiających się oku w pysznej, amfiteatralnie wznoszącej się formacyi, otaczającej w ciemno-niebieskiej podkowie uroczy Śląsk Cieszyński. Wierzchołki gór jaśniały w sino-zielonawych sałaszach, w roztokach czaiły się błękitne mgły, a wszystko to mieniło się tak wyraźnie, tak delikatnie, jakby na dłoni. U stóp gór leżała wspaniale rozłożona wieś, Ustroń, a w tyle rozciągały się już pastwiska gminy Wisły.

— A to cudny widok! — wyrwało się z ust nauczycielowi.

— Nieprawdaż? O jak śliczny ten nasz Śląsk Cieszyński! Ale chodźmy dalej, pokażę panu i okolice Bielska.

I tak go oprowadzała po górze a co z innego miejsca przedstawiał się im powabniejszy jeszcze widok na pagórkowatą krainę. W jednym miejscu musieli obchodzić kamieniołomy. Kiedy tak z brzegu przepaści spojrzeli w dół, to im aż w oczach pociemniało, a Hela zadrżała z lekka i zachwiała się na nogach. Uchwycił ją nauczyciel w poły, inaczej stoczyłaby się w urwisko. Uniósł ją w rękach jak piórko kilka kroków w tył, w bezpieczniejsze miejsce. Przymknęła oczy, a jej twarz przybladła widocznie. Czuł, jak jej serce poczęło bić, krew poczęła w jego żyłach rażno krążyć, już chciał swoje gorące usta przycisnąć do jej warg, gdy lotem błyskawicy przemknęła

mu przez rozpaloną głowę myśl o przyjacielu Farniku. Oprzytomniał, twarz spoważniała i postawił spokojnie Hełę na ziemię.

Poczuwszy grunt pod nogami, odemknęła powieki i spojrzała nań płomiennem okiem. Działo się to wszystko kilka sekund, a im zdawało się, jakby oboje spojrzeli w jakąś straszną, a zarazem bezgranicznie rozkoszną otchłań.

— Jency se tam pomalutku chodźcie — ozwał się zniénacka w ich tyle głos Sikory, zbliżającego się do nich z kosą i grabiami. Tu roz jeden chłop spod i na fleku był gotowy! Te miejsca są bardzo niebezpieczne.

— Bardzo niebezpieczne — powtórzył bezwiednie nauczyciel, a przed duszą stanęła mu znów miła twarz przyjaciela z smętną, zapłakaną twarzą.

— No, chodźmy dzieci do domu — rzekł Sikora. Wieczór je i coraz chłodni. Zawiań sie Helo lepi do hacki.

Słońce schylało się rażno ku ziemi a cały świat począł się palić jakby w krwawych ogniach. Lazurowa barwa szerokiej wstęgi gór zamieniła się w różowo-fioletowy ton, zielone świerki przyciemniały, odbijając się na tle zorzy wieczornej w czarnych, sztywnych sylwetkach, w dali zatliły się stawy i rzeczulki, niby karminowe płyty i zygzakowate, strzępiaste sznurki, a z koszonych łąk unosiła się na wszystkie strony odurzająca woń, aż oddech tamowało.

Szli zwolna, rozglądając się w cudnej okolicy wieczornej. Na przedzie stapał uśmiechnięty Sikora z fajką w ustach, za nim kroczyli młodzi jakoś nieśmiało i nieswojsko, dziwnymi myślami zajęci. Sikora kilka razy chciał wszcząć jakąś debatę, ale nauczyciel zbywał go półgębkiem, więc zamilkł, spoglądając tylko w ciche, krwawem światłem zalane łąny.

Przed wsią spotkali starą Pagiełową. Oczy jej były zaczerwienione i od płaczu zapuchnięte. Widocznie ich oczekiwała.

— Dobrze, że uż też idą panie rehtór — rzekła płacziwym tonem. Czakom boleśnie na nich od godziny. Dyć też będą tak dobrzy a wleżą do nas, wiedzą, do mojej cery, jejich sąsiadki, co to chłopa mo na umór nimocnego. Bezmali że borok już dłógo nie pożyje i chce robić testament. Będą też tak dobrzy a napiszą to tam u nas, dwo świadkowie już czekają.

Nauczyciel pożegnał się ze Sikorą, skłonił się Heli, a kiedy mu podała rączkę, czuł, jak w jego dłoni drżała. Spuściła powieki, zakrywając rzesami oczy, że nie dostrzegł jej wzroku.

Dobranoc panie rehtór — rzekł ojciec, nie domyślający się niczego. — A jak będą mieć czas, przyjdą zaś do nas.

Wszedł do skromnej chatki sąsiada Ciemały. Na progu w sieni siedziało w koszulce niemowlę, bawiąc się z kołkami, belkocąc wciąż coś do siebie. Na widok nauczyciela zapłakało gwałtownie. Z izby wyleciała sąsiadka z łzawem okiem i niezmiernie smutnym wyrazem na bladej i zmizerowanej twarzy.

— Pięknie witom, — pozdrowiła go. — Przeboczą, że ich dopalujemy, ale nom też przeca nie odmówią napisania tego testamentu. — Przy wypowiedzeniu »testamentu« zaszlochala spazmatycznie, zakrywając dłońmi oczy. — Wleżą oto do izby, on tam leży, a bai świadkowie uż są.

Izba była mała, nizka, na stole w rogu paliła się świeca, rozwidniając zaledwie przyległe ściany biało-tynkowane, pod blachą palił się ogień, trzeszcząc i sycząc bezustannie, na blasze wrzała woda w garnkach, z których buchała para, roznosząc się po całej izbie, a z przeciwległego kąta rozlegały się przyciszone jęki.

Nauczyciel, przywitawszy się ze »świadkami«, rozmawiającymi swobodnie za stołem o pogodzie i gospodarstwie, przystąpił do łoża chorego. Początkowo miał wrażenie, że widzi na pierzynie jakiś szkielet, żółtą skórą powleczoney, nieznacznie się ruszający.

— To je mój chłop — rzekła młoda kobieta z bolem. — Dziwiają się, co to ta choroba z nim zrobiła — dodała z cicha. A przeca był to kiesিকেj nejszwarniejszy pacholek z dziedziny.

Chory, nie reagując wcale na obecność obcego i rozmowę żony, jęczał ledwie dosłyszalnie z przymkniętymi oczyma. Snać był już tylko połowicznie tu na tym świecie.

— Jędrysku, poruszała go żona delikatnie — a dyc się opamiętej na chwile. Tu są rechrór, chcą ten testament pisać, jakoś chcioł.

Po chwili otworzył chory oczy, uśmiechnął się gorzko i począł mówić urywanym głosem:

— Do... dobrze, że... už, už też przyszli. Bóg zap...płać! O Jezu, Jezu, co... co... za boleści — ich, — zajęczał, chwytając się za gołe piersi. — Tak wszyc—ko... co, co mom... moj... mojej żonice zapisz...piszę. A ty... Ew... Ewko — zwrócił się z niewymównie smutnym i bolesnym wzrokiem do żony — nie... nie krzyw... krzywdzj to... moje dziecko... niemowle, jakbyś... sie miała... eszcze kie... kiedy wydać... Przy... przyrzeknij!

Zwalił się bezsilnie na poduszki, oddychając ciężko, z wysiłkiem. Sąsiedzi tymczasem rozmawiali dalej o codziennych sprawach, pykając z fajek, nie zwracając wcale uwagi na jego słowa.

— Pójdzie borok i zbyte — zawyrokowali. — Cóż to pomoże litość. Dyc i na nas kolej przyjdzie, jutro lebo późni, wszystko jedno.

Tylko dziecko zapłakało żałośnie pod ścianą, a wtedy poruszył się niespokojnie chory, mówiąc do żony:

— Ucisz chu— chudzioczka, ni, ni mo-gę słysz-ć, jak bo-bożatko pła-płacze. — Umierałoby się nieborakowi lepiej, gdyby nie ten robaczek, jego »bożatko«, które tak ogromnie kochał, pieścił, a teraz sierotką zostawić miał na los niepewny.

Nauczyciel napisał testament, przeczytał choremu wyraźnie, pytając się, czy treść odpowiada jego woli. Kiwnął przytakująco głową, chwycił rączkę z piórem, wetknął mu przez nauczyciela w sztywne palce i podpisał się w wskazanem miejscu. Również i świadkowie namalowali w bezkształtnych literach swe nazwiska, przyczem się tego spocili.

— Na mu duszu — mniemali. — Lepi pełną furę podnosić ze szkarpy, niż piórem pisać.

Siedzieli potem jeszcze jakiś czas przy stole, Ciemałowa uraczyła ich jajecznicą i warzonką, Ciemała jakoś ucichł w kącie a stara Pagielowa usypiała w kołysce dziecko, nucąc mu coś o aniołkach i Jezusku.

Wzruszony, zbity i bezbrzeżnie smutny wracał nauczyciel późną nocą, kiedy już dawno zapaliły się były gwiazdy na firmamencie, do samotnej swej szkoły na »Pustkowiui«.

VI.

Ponure przeżycia.

Właśnie wypuścić nauczyciel dzieci ze szkoły. Drzwi zawarły się za ostatnim chłopcem z trzaskiem, jakiś czas słyhać było jeszcze krzyk, nawoływanie i pisk oddalającej się dziawty, następnie zapanowała w szkole cisza ciężka, ołowiana.

Nauczyciel zmęczony i zmachany usiadł na swej kanapce, wsłuchując się w to martwe milczenie. Dzień listopadowy ponury i dżdżysty, wiatr wył za oknami, świstał za węglem, niekiedy

zalał świat ciemną szarugą, niebo się zachmurzyło, a deszcz szuścił po szybach, zlewając je strugami wody, że wyglądały jakby łzami zalane.

Smutek, martwota dokoła. Przez okna widzieć można było prosto na cmentarz, leżący opodal na wzgórzu. Potężne, odwieczne lipy, dawno z liścia огоłocone, chwiały i wyginały się rozpaczliwie w jesiennym wicherze, trzepotały gołemi gałęziami, a wiatr śpiewał w ich czarnych, deszczem ociekających konarach melancholijną pieśń.

Pod lipami rysowały się na tle rozplakanego nieba pochylone, zmurszałe krzyże, jakby w bezdennym bolu, nad zapadłemi mogiłami pogrążone.

Wokoło puste, jesienną mgłą osnute pola, w brzdach mętne kałuże niby martwe, matowe ślepia trupa olbrzyma, w dali drzemiąca, jakby do ziemi przykucnięta wioska, tylko po niebie pędziły w szalonym biegu bure kłęby i rozstrzepione zwały chmur gdzieś tam w bezkresną dal. Chwilkami rozwidniał się firmament na chwileczkę, by się zaraz szarą powłoką na nowo zasłonić.

Nauczyciel wyszedł przed szkołę, wlepiając wzrok w zamgloną okolicę. Żaden głos, prócz wichrowych jęków, nie odzywał się z martwych pól, żaden człowiek nie okazał się na błocistej, kałużami zatopionej drodze, tylko het tam nad cmentarzem zataczały wrony szerokie kręgi w powietrzu.

Wróciwszy przygnębiony do pokoju, rozniecił w piecu ogień. Kiedy płomienie poczęły trzaskać, zrobiło się nauczycielowi jakoś lżej na sercu, jego twarz się wypogodziła i ugotował herbaty, zapalił papierosa, a popijając z filiżanki, wpatrywał się w blaski ognia.

Zbliżył się potem do fortepianu, by jakąś miłą przegrywką rozprószyć ciężkie i ponure myśli. Wtem zakołatał ktoś do drzwi w sieni. Do

pokoju wśliznęła się sąsiadka Ciemałowa w czarnem ubraniu.

— Pochwalony Jezus Krystus! — rzekła drżącym głosem.

— Na wieki amen — odpowiedział. A cóż tam u was nowego? Jakże z waszym, może mu lepiej?

Sąsiadka, opierając się o futrynę drzwi, nic nie powiedziała, tylko przygnębiona tępo i boleśnie przed siebie patrzyła.

— A może waszemu gorzej? — zapytał zaniepokojony nauczyciel.

Wtedy wybuchnęła kobieta głośnym i rozdzierającym płaczem, zakryła dłońmi oczy, a z pomiędzy palców poczęły jej ciec gorące strugi łez jakby z rozbitego cebrzyka.

— Dla Boga! cóż wam jest?

— Już se spi na wieki! — wyrwało się jej z piersi. — Już sie mi nie obudzi, już jo tam w jego oczy nie zajrzę, ani też bicia jego serduszka nie poczuję. Umrzył i leży se jakby z deski wyciosany. — A potem poczęła tak sromotnie narzekać, tak wszystkie bole swoje wynurzać, że nauczyciel, wzruszony do głębi, sam zaszłochał nad ogromem niedoli nieszczęśliwej kobiety.

— Taki krzyż to na nas Bóg zesłał — biadała — bo też inaczy ni mogło być, kiej nom aji ojcowie nie pobłogosławili na życie. Pobraliśmy sie tak od serca, z tej wielki miłości do siebie, a tu nas Bóg jednak rozdzielił i nie pozwolił żyć we dwoje. Przydą sie też panie rectoru eszcze na niego roz podziwać, leży se tam chudziok w izbecce som na stolicy. Spominoł ich pore razy przed śmiercią. A tak sie mu nie chciało umierać, tak sie też chudziocek bronił. Idę eszcze oto do Sikory pojcząc piniędzy na pogrzeb, bo to chcioł mieć szumnie odprawione, po siedlacku, tuż też to kosztuje piekny grejcar.

Długo stał nauczyciel w kącie jakby do ziemi przyrośnięty. Wreszcie się ocknął, ubrał, zamknął drzwi na klucz i poszedł do sąsiadki. Zmierch już nadobrze zapadał, robiło się w świetle ciemno, a lipy nad krzyżami wciąż grały jakąś ponurą, bolesną symfonię cmentarną.

Na kupie gnoju przed oborą sąsiadki siedziało stare, pokrzywione psisko i wyło przeraźliwie. Z kuchni dolatywały głosy płaczu i lamentu kobiet. Było ich tam pełno, stały po kątach, siedziały na stolicach i narzekały. Tylko stara Farugowa, krzątając się po izbie, zachowała spokój duszy.

— Dyc tam Jewko tela nie płacz — pocieszała. — Wzion Ponboczek, no i co wybeczysz? Ap, narzekolbych tam tela. Dyc jeszcze dość chłopów na świecie.

— Ale takigo już jak żyw nie nońdzie — zawyrokowały inne.

— Juźci że ni, nale zawsze bee chłop — odparła Farugowa sucho.

A pod piecem na poduszce bawiło się dziecko jakby nic. Tylko niekiedy, widząc matkę szlochającą, zakwiliło żałośnie.

— Tak, tak, sieroteńko ty biedno — żaliły się nad niem. — Gdybyś ty zrozumiało, coś ty straciło. O Boże, Boże, drogi!

Ukoila je stara Farugowa, kołysając je na rękach. Poprowadziła też nauczyciela do izbeczki, gdzie martwy leżał. Wyszła, a nauczyciel został sam na sam z umarłym. Leżał sobie wyprostowany na stolicach z założonymi rękami na zapadłych piersiach, a z pod przymkniętych powiek połyskiwały mu białka ocz w blasku gorejących świec. Leżał sobie spokojnie, bo go już nic nie bolało, nic mu nie dokuczało. Cisza zalegała izdebkę, ledwo co przez grube mury z przeciwległej izby dolatywały słabe jęki kobiet. Tylko świece syczały, a gdzieś w kącie muszka nucila elegijną pieśń.

Wszedł do izdebki i śpiewak Mrógała, z grubem kancyonałem pod pachą, a za nim przybyli i inni sąsiedzi, kobiety i mężczyźni, a wszyscy nasamprzód klękali u nóg zmarłego, wzdychali ciężko, zmagając pacierze za jego duszę.

— Tak se to umrzył boračyzsko — rzekł stary Mrógała żałośnie. Byłech przy jego śmierci.

— Tak?

— Jako prawie — rzekł Mrógała, siadając obok nauczyciela na ławie.

— Czy się mu ciężko umierało? — badali.

— Ep, ludkowie — kiwnął głową. — Chciołbych i jo kiesikej tak libeźnie i spokojnie umrzyć.

— Zasłużył se, boračyzsko.

— A jużci że zasłużył po tak długich cierpieniach.

— Jak už trufoł — mówił dalej Mrógała — że śmierć se už na niego z kosą zagierzo, wyszeł se jeszcze z łóżka som i legnył se na słóme, na deliny łoto. Prawie była północ, a naroz godziny stanęły. Chciołech jeszcze babe jego zbudzić, ale niebozczyk prawil, aż ji dom pokój, bo sie i tak biedaczysko przez caluški dzień kole niego utropi. Jeny chcioł eszcze roz to swoi dziecko widzieć. Joch zawołoł na starą Pagielke, aż chłopca po cichu przyniesie, ale chłopiec, jak go w kolebce zbudzili, począł krzyczeć, tuż nimocny pytoł, aż nie ruszają synka, kiedy on i tak poza grobem bee se nad nim czuwoł. Potem przymknął oczy, gromniczke ech mu zapolil, wytchnął, uśmiechnął sie i już było po nim. Tak umrzył, jakbyś oto te świeczke zaduchnył.

Przysłuchiwali się mu smutnie, kiwając głowami, a niejedna kobieta w kącie z cicha zapłakała.

Ep, ludkowie — dodał śpiewak siwowłosy. — Dyc mu już tam lepi na drugim świecie. Joby bai som už chcioł przekroczyć ten wieczny próg, bo to tu na tym mizernym świecie ni ma razinku

co robić. — Rzekłszy to, otworzył kancyonał i zanucił drżącym głosem:

*Cokolwiek w świecie jest, wszystko marność,
Choćby mnie królewska doszła godność,
Wszystko zginie, świat pominie,
Króla i cesarza śmierć nie minie.*

Zawtórowali mu wszyscy obecni, mężczyźni grubymi, kobiety piskliwymi głosami, a śpiewak wciąż spoglądał z ponad okularów w rysy zgasłego, przytakiwując głową jakby na potwierdzenie tych słów piosenki, a niekiedy spojrzął surowo po zgromadzonych, marszcząc brwi, jakby im chciał szczególną zwrócić uwagę, jaki koniec ich wszystkich czeka.

Śpiewali przeciągle, z przejęciem, wzdychali, ręce załamywali, łzy ocierali, głosy ich ponure rozlegały się po chacie; kiedy przycichli między zwrotkami, było słycać narzekanie wdowy z drugiej izby, albo wycie psa na podwórzu lub głęciy szmer w drzewach za czarnymi szybami okien.

Śpiewali, grozą śmierci przejęci, tylko ten, obok którego śpiewali, leżał sobie z pogodną twarzą, jakby go to wcale nic nie obchodziło; a niechże sobie tam nucą i zawodzą, on już raz ma spokój z tym zdradliwym światem, on już swoje dokończył, jego dusza pewnie tam na wieczności czemś innem zajęta, niż tą biedą doczesną.

Ile razy zachwiały się płomienie gorejących świec, pełzwały po jego twarzy chyże cienie, że wydawało się niejednemu, jakoby zadrgały mu muszkuły koło ust, a stara Pagiółowa to nawet raz krzyknęła z radości, bo się jej przywidziało, że zięć znowu do życia powraca.

— Ap, powróci ci tam, babo. Jak go już roz śmierć uchwyci, marne wołani, choćbyś się i w żywe ciało ugryzła.

Kiedy skończyli jedną pieśń, zrobili dłuższą pauzę i rozgadali się na chwilę o losach rodziny zmarłego, a potem znów zanucili:

*Jużes teraz uwolniony od frasunków i trudności,
Któremis był udęczony w ziemskiej twojej
śmiertelności.*

A wtedy i sam śpiewak zalkał boleśnie, myśląc pewnie o własnych frasunkach na wymowie, że go tak jego dzieci strasznie do ściany przyciskały.

Późną nocą wyszedł nauczyciel z chaty, zupełnie oszołomiony. Było mu tak ciężko i strasznie na duszy. Deszcz lał bezustannie, wichura wyła, drzewa świstały i taka ciemność zapełniła świat, żebyś ją nożem mógł krajać.

Dokąd miał teraz pójść? Do pustej swojej szkoły? Nie! Czuł konieczną potrzebę rozmówienia się z kimś, by się rozerwać swobodną pogadanką, by przywrócić spokój swej znękanej, zrozpaczonej duszy.

Skierował zatem omackiem swe kroki w stronę gospody, której okna tam w dali, mdłym światłem oświecone, rozjaśniały ciemną noc. W izbie szynkowej nie zastał żywej duszy. Gospodzki wyjechał gdzieś do miasta, została tylko jego stara, mrukliwa matka. Przyniosła mu piwo, postawiła na stół, przykręciła coś światła w lampie i poszła znów do sąsiedniego pokoju, ziewając bez przerwy. Pozostał sam w szynku, w nader przygnębionym nastroju. Gdyby przecież ktoś chciał nadejść i z nim pogwarzyć. Nawet takiego Hernioka powitałby z radością. Ale nikt nie przychodził, stary zegar na ścianie monotonna cykał, deszcz bił w ciemne szyby okna, a jemu było tak smutno i tęskno. Wciąż dźwięczały mu w ustach głosy śpiewaka, wciąż słyszał szlochanie biednej wdowy.

Nareszcie ozwały się w sieni kroki. Od razu

zabiło mu serce raźniej, w jego duszę wstąpiła otucha, że to przecież z kimś będzie mógł pogawędzić. Starał się po odgłosie kroków odgadnąć osobę przybysza. Herniok to nie był, bo ten stąpał ciężko, butnie. Adjunkt, jego przyjaciel, również to nie jest, bo krok jego jest lekki, elastyczny. Poznawał on niejednego po chodzie, gdyż prawie każdy wieczór bywał w gospodzie, gdzie się wiktował, przyczem miał sposobność studyowania miejscowych wieśniaków nie tylko pod względem ich charakteru, ale także i co do ich ruchów, gestów i najdrobniejszych szczegółów.

Drzwi się otworzyły, a do szynku wsunął się Piechaczek, wolarz z folwarku, chłopisko nieokrzesane i grondolowate. Ale i z jego przybycia był nauczyciel rad, więc wdał się z nim zaraz w rozmowę, która miała bardzo ciasny zakres, bo toczyła się li tylko około różnej rasy buhaji, wołów, krów, jałówek i cieląt, z którymi Piechaczek stale obcował i o których opowiadał z wielkiem upodobaniem, mianując je po nazwiskach i opisując ich zalety, korzyści, jakie dają panu i tem podobnie. Okazywał widoczne zadowolenie z nauczyciela, że tak cierpliwie słuchał jego wyurzeń.

Po chwili znów rozwarły się drzwi, i w progu ukazał się wójt z synem. Nauczyciel niemal że nie podskoczył z zachwytu. Więc się przecież nawinęli odpowiedniejsi towarzysze na ten ponury wieczór. Również i wójt ucieszył się z obecności nauczyciela. Zasiadł z synem Jankiem przy stole obok nauczyciela, rozpoczynając pogadankę o pogodzie, a kończąc opisem śmierci Ciemały.

— Szkoda było tego człowieka — mniemał. Pilne i pocziwe to było chłopisko.

— Jeszcze bardziej mi jego Ewki luto — wtrącił Janek. — Cóż se też ona borok pocznie teraz bez chłopca? A tako to je porządno, szykowno i robotno żeńsko, jakich mało na świecie.

Z jego wywodów można było od razu poznać, iż Ewka nie była mu obojętną. I rzeczywiście, o ile sobie we wsi ludzie na ucho opowiadali, — przepadał kiedyś Janek za Ewką, z czego miał niemały kłopot z ojcem, który nigdy nie mógł pozwolić na związek syna, jedyne go spadkobiercy całego jego majątku, z Ewką, dziewczyną biednej chałupnicy. I teraz nawet, kiedy Janek nie mógł się dość nachwalić Ewki, spojrział na niego niechętnie, mówiąc:

— Stwora porządno, to je prowda. Ale czy to w świecie nima porządniejszych i bogatszych? Dziwno mi, co ty synku zawsze tela dobrego na tej babie widzisz.

Przerwali rozmowę o zmarłym i wdowie, a zwrócili się do innych rzeczy, jako to do jarmarku, targu, polityki gminnej, a wreszcie zauważył wójt:

— Dobrze, że ci się spomniół, coch im chciół powiedzieć. Oto ze starostwa przyszło zawiadomieni gwóli tego konkursu na szkołę. Wybór nauczyciela mamy przeprowadzić za sztyry tydzie.

Nauczyciel milczał jakiś czas, przez jego twarz przemknęły się dziwne cienie, wreszcie rzekł:

— No i cóż myślicie, panie wójcie? Czy mam przy wyborze widoki albo też kto inny znajdzie większe względy u wydziałowych?

— Co do mnie, panie rector, mogę im każdego czasu rękę dać, że mie mają za sobą. Nie, żebych się im chciół podchlebiać, ale myślę, że lepszego rectora, niż oni są, nie dostanemy.

— Czy to zdanie podzielają także inni? — pytał nauczyciel.

— Ale czemu ni — odparł wójt. — Dyc taki Sikora, pierwszy radni, je bardzo za nimi. Ai Gajdaczek, Małysz i insi. Wielebny pon też są po jejich stronie. Jeny ten przemierzły Herniok strasznie przeciwko nim brózdzi i bamąci ludzi.

— Cóż właściwie ten człowiek ma przeciwko mojej osobie?

— Nale, pytają sie! To je taki hyrtoń nieokrzesany, tako marcha milijońsko, że robi gańbe całej dziedzinie. Gdyby tak z nim pili w gospodzie od rana do wieczora, lebo sie kole jego cery Hanule zakręcili, toby z pewnością był za nimi. Ale dają se spokój z takim grondolem, jo mom nadzieje, że większość bee jednak za nimi.

— Tak, tak, gazdoszkowie — ozwał się teraz i Piechaczek od pieca. — Jeny se wy potrzymejcie tego rehtora, bo to je człowiek ludzki, niehyrny, porządzi se z byle jakim, a wyzno sie dobrze na naszych wołach z folwarku i wie jako kiero rasa. Mądry ci to rehtór, nie było tu eszcze takigo.

Tak sobie rozmawiali, a czas im mile uchodził. Zegar ścienny wskazywał jedynastą, kiedy wreszcie wybrali się do domu. Nauczycielowi zrobiło się znów jakoś ókliwo, chętniby jeszcze posiedział w towarzystwie tych miłych i poczciwych chłopów. Wyszli wszyscy w czarną, dżdżystą noc, zdażając błotnistą drogą ku szkole. Kiedy nauczyciel miał się już z nimi pożegnać, rzekł do niego wójt w żartobliwym tonie:

— Jak ich wybieremy, to sie panie rehtorku muszą postarać o jaką szykowną paniczke, bo im to przeca musi być strasznie otrętno, tak samučki w tej szkole mieszkać.

— Prowde prawicie, fojczicku — ozwał się Piechaczek, dobrze podchmielony. — Dyć to przeca strasznie tak samemu być. Eszcze ich kiedy co zadusi. Jo se śpię z bydelkiem w chlewie i jest mi wesoło.

— Tak, dobra noc, panie rehtór, wyśpią sie na zdrowo!

— Dobranoc, dobranoc, panie wójcie. — I rozeszli się.

Rzeczywiście, taki Piechaczek miał zupełną słusność. Strasznie to być tak samemu w tych

murach. Odczuwał to nauczyciel i teraz, kiedy wchodził w próżny budynek szkolny. Odmykał duże drzwi, a po sieni rozległo się głucho echo skwierczących podwoi, z każdego kąta ozwał się łoskot, trzask i zgrzyt jakichś dziwnych odgłosów. Z rewolwerem w jednej, latarką elektryczną w drugiej ręce, zaglądał w każdy kąt sieni, przyświecał za piec, za szafę, pod fortepian i łóżko, a przekonawszy się, iż nie czai się nigdzie żaden zły człowiek w ukryciu, położył się znużony do łóżka. Przed zaśnięciem czytał chwileczkę dla uspokojenia nerwów jakieś humorystyczne pismo, a potem, zagasiwszy światło, ułożył się do snu. Nieprzenikliwa ciemność go ogarnęła, ledwie że okna rysowały się słabo na tle czarnej ściany. Wiatr przycichł na polu, nic nie przerywało tej nocnej ciszy, tylko budzik szeptał bezustannie.

Zasnął. Po chwili jednakże dobrze poczuł aż do snu, iż ktoś drzwi do sieni otwiera. Mocował się gwałtownie chwilę z przygniatającą go zmorą, aż wreszcie przebudził się. Usiadł spocony w łóżku, wsłuchując się wytężonym słuchem w martwą ciszę. Lecz nic więcej się nie ruszyło. Przez szyby widział z lekka chwiejące się drzewa w ogrodzie. Położył się znowu na łóżku, zasnął jednakże nie mógł i już zamierzał zapalić na nowo lampę, by zająć się lekturą, dopóki mu sen nie sklei na nowo powiek, gdy w tem znów coś w sieni zastukało, a równocześnie ozwał się przeciągły jęk. Nauczyciel potarł ręką po oczach, by się przekonać, czy to sen, czy jawa. Usiadł ponownie w łóżku, wstrzymał oddech i słuchał. A tu po raz drugi zastukało coś o ścianę, westchnęło boleśnie, a potem posuwały się kroki ciężkie, nierówne w stronę drzwi do izby mieszkalnej. Nauczyciel poczuł, jak mu się krew w żyłach ścina. Drzwi, lubo je na klucz był zamknął, rozwarły się z cicha...

Na progu ukazała się w jakimś dziwnem, słabem świetle niewyraźna, bezkształtna, wibrująca postać bez konturów, rozplywająca się niby biała mgliczka w mdłym oświetleniu. Wyraźniej zarysowała się bezbarwna twarz z przymkniętymi oczyma, spiczastym nosem i jakby z bólu wykrzywionymi ustami. Właśnie wyglądał tak leżący trup Ciemały na stolicy. Powiało od tej mary mroźno, ostro, jak od bryły lodu, równocześnie wydarł się z odchylonych ust znów przenikliwy, przeciągły jęk. W następnym momencie rozwiało się to w biały obłoczek, który po kilku sekundach znikł w ciemności bez śladu. Drzwi się z cicha zawarły, zrobiło się cieplej, a potem znów tylko budzik gadał monotonna, jakby nic nie zaszło.

Drżącą ręką zapalił nauczyciel światło. Długo leżał na łóżku, dotykając wciąż to kołdry, to krzesła, to ściany lub swojej głowy, oczu i uszu, gdyż się mu wydawało, jakoby wszystko było tylko urojeniem, bardzo żywym snem lub samowolną igraszką rozdrażnionych nerwów.

Była to jednakże rzeczywistość! Duch zgaśłego sąsiada przybył w odwiedzinę. Nauczyciel poznał jego rysy i jego głos, nie było to więc przywidzenie. Czytał on dużo i słyszał od znajomych o podobnych zjawiskach, lecz nigdy wiary nie dawał takim opowiadaniom. Tłumaczył sobie dotychczas, iż podobne zjawiska mogą się chyba chorym zmysłom przedstawić. Dziś widział na własne oczy...

VII.

Ważne zdarzenia.

U Sikory było »podgarle«. Zabił wytuczonego wieprza i zaprosił na wieczorną ucztę kilku gości ze wsi, między innymi nauczyciela i adjunkta. Siedzieli w przyjemnie ogrzanej izbie gościnniej, bawiąc się miło i wesoło. Gospodyni przy-

nosila jedną pieczeń za drugą, każda inaczej przyprawiona, bo Hela umie wybornie gotować, gdyż ukończyła w Cieszynie »kochszule« (szkołę kucharską). Dymiły się z talerzy kielbasy, kiszki wątrobiane, pączki, gulasze i tem podobne smakołyki, przyrządzone i z gustem podane, przepijali często warzonką, herbata, piwem domowem, palili fajki, a młodzi cygara i papierosy.

— Jency też jedzcie, ludkowie, nie dejcie sie mocka pytać — przymawiała Sikorowa gościom.

Nejprzód se popijmy, żeby lepszy trowiło — mówił Sikora.

Hela była ubrana w jasną sukienkę, w której jej było ślicznie do twarzy. Uśmiechnięta, z lekkim, delikatnym rumieńcem w twarzy, zwinna, a taka hoża w swych ruchach i gestach, że wywołała u obecnych zachwyt swym niezwykłym urokiem. Zwłaszcza adjunkt latał za nią oczyma, jak za jaką cudną wizyą, tak, iż i uwagę innych zwrócił na siebie. Raz bladł, to znów występowały mu krwawe wypieki na lica, nikiedy smutniał, potem się ożywiał nerwowo, mówiąc Heli słodkie słówka. Była dla niego grzeczna, uprzejma, uśmiechała się doń, lecz taką samą grzeczność okazywała innym, tylko do nauczyciela się jakoś wcale nie odzywała, chyba niekiedy z ciemnego kąta ukradkiem posłała mu gorące spojrzenie. Nauczyciel również nie zwracał się do niej, niekiedy tylko spojrział w stronę przyjaciela z hitością w zamglonem oku. Ile razy kusilo go spojrzeć zuchwalej w figlarne oczy Heli, spoglądał na przyjaciela, tłumiąc uczucia rodzące się w sercu.

Sikora zauważył, co się z adjunktem dzieje.

Lubił tego ładnego i przystojnego młodzieńca i okazywał mu te afekta jawnie, odzywając się zawsze doń łagodnym, ojcowskim głosem. Dawno sobie w nim upatrzył swego przyszłego zięcia, bo także jego żona odnosiła się do niego z czu-

łością i wielką sympatyą. Wprawdzie nie mówili jeszcze otwarcie z Helą, ale byli pewni, że i ona pokochała ładnego panicza.

— Jeny se wezną, panie adjunkt, oto tego jelita, wezną se — zapraszał go ciągle. — A popiją se też, dyć sie kapke rozruszają, bo jacysikej są dziśka markotni.

Nalewał mu do filiżanki, przysuwał półniski pod sam nos i częstował cygarami. Adjunkt spoglądał wdzięcznie na Sikorę, lecz jakoś nie zabierał się do jadła i napoju; zbyt był zajęty jego piękną córką.

— Tak na zdrowie temu zabitemu! — żartował wójt, podnosząc szklanke.

— Na zdrowie! — odparli ze śmiechem. — Niech mu tam bee spokojnie w naszych żołądkach.

— A słyszeliście to — ozwał się Małysz — co się stało z wieprzkiem u szandarów w Skoczowie unegda?

— A cóż takigo?

— Nale, przemierzłe zazraki — rzekł. — Jacysi miglanci zabili szandarom w chlewku kormika, potem go oblekli w długi kabot, mycke mu dali na głowsko, dwo wzieni pod ramie i smyczyli przez miasto w postrzodku między sobą jak pijanego chłopca. Pram na rynku potkoł ich wachmajster, co mu tego kormika skrzywili, a jak ich zezdrzył, spytał sie: »Cóż zaś to za ożraną świnię kludzicie?« A je to świnią, je — odpowiedzieli mu i poszli dalej.

A to marchy!

— Dziwejcie sie, to je milioński szpas.

— Taki už to ten świat zepsuty.

Sikora przyniósł karty. Starsi zasiedli do gry, młodszy przewaźnie, usunąwszy się w kąć na dywan, palili papierosy, popijali warzonkę, rozmawiając żywo coś o dziewczynach we wsi lub o jakichś tam psotach i dawnych przyjaciołach.

Hela usunęła się do swej izdebki i już nie wyszła między gości, chociaż adjunkt prawie że oczyma pożerał drzwi, prowadzące do jej pokoju.

Późną godziną wracał nauczyciel z adjunktem do domu. Noc była jasna, mroźna. Po niebie płynął księżyc w pełni, oświetlając szerokie pola śnieżne, zapalając na ich powierzchni miliardy iskerek w tęczyowych barwach.

— Nie masz pojęcia, kochany Wiktorze — mówił adjunkt — jak czuję się niekiedy znękanym. Widziałeś sam, jaka uprzejma była dla mnie, ale czyż to ona i dla innych taką nie była? Co za cierpienia przechodzę w tej ciągłej niepewności! Czy też ona chociaż iskierkę głębszej miłości odczuwa do mnie? Jakże ty sądzisz?

Nauczyciel dłuższy czas nie odpowiadał i tylko tak jakoś boleśnie i beznadziejnie wpatrywał się w śnieżne pustki wokoło. Niekiedy mu się zdawało, że wybuchnie płaczem, rzuci się w zasy śnieżne, by się więcej nie podnieść. Czuł ogromny żal do siebie i całego świata. Ale kiedy spojrzał w łzawe oczy swego drogiego przyjaciela, ucichła burza w jego sercu i poczuł tylko wielkie współczucie i litość nad Karolem.

— Nie rozpaczaj, Karolu! — pocieszał go, ująwszy go czule za rękę. — Rodzice cię bardzo lubią. Oni cię wprost ubóstwiają i niepodobna, żeby ta miłość rodziców co najmniej w części nie udzieliła się sercu córki. Mogę cię zapewnić, iż ją dostaniesz. Mówił mi to w podobnym sensie i jej ojciec.

Karol zadrżał jak osika i spojrzał z uniesieniem w górę.

— Ach, gdyby się tylko twe słowa spełniły — rzekł z przejęciem. — Pod szkołą rozeszli się.

— Musisz i ty, Wiktorze, z czasem obejrzeć się za jakąś dziewczyną — rzekł adjunkt z uśmiechem. — Sądzę, iż niejedna czułaby się twym wy-

bożem uszczęśliwiona. Tylko się rozpatrz, przecież tyle dziewczyn na świecie.

— Tyle dziewczyn na świecie — powtórzył Wiktor bezwiednie. — Ale nie wszystkie przypadają człowiekowi do serca tak, jak... no, co tam gadać daremnie, mówię ci, iż Helę masz pewną.

Rzekłszy to, odwrócił się szybko i skreślił w opłotki swej szkoły. Karol przeszedł sam połą drogą. Przystawał często, wpatrywał się w księżyc, wzdychając ciężko. Znikł wreszcie w ciemnym borze na krańcu wsi.

W tydzień później odbywał się wybór nauczyciela. W kancelaryi gminnej zebrali się wszyscy wydziałowi, był także i ksiądz proboszcz z sąsiedniej wsi. Na obliczach zgromadzonych malowało się niezwykle napięcie. Boć rozstrzygnięcie kwestyi obsadzenia posady stałego kierownika i nauczyciela przy ich szkole nie należało do codziennych zajęć gospodarzy. Trafiało się im to tylko raz w życiu. Któż miał się stać na długi może szereg lat nauczycielem ich dzieci? Któż miał być tą osobą, na którą wszyscy we wsi spoglądają, która miała im być wzorem i dobrym przykładem, w pożyciu z nimi jak członek rodziny dzielić ich wesołe i smutne dni, być im doradcą i powiernikiem? O tem właśnie mieli rozstrzygnąć.

Wójt, zagaiwszy posiedzenie, przeczytał odnośną ustawę szkolną co do wyboru stałej siły nauczycielskiej przez Radę szkolną miejscową i wydział gminny, następnie przeczytał podania czterech kompetentów, ubiegających się o posadę, między którymi był i miejscowy prowizoryczny nauczyciel.

— Słyszeliście — dodał wójt poważnie z pewnem namaszczeniem — że się tu rozchodzi o nie małą rzecz. Otóż — usiłując się mówić językiem ksiązkowym — my, zastępcy gminy, mamy waż-

ną rzecz przed sobą. Wybór nauczyciela! Nim przystąpimy do właściwego wyboru, prosilibym was, byście wypowiedzieli swoje zdanie szczerze i otwarcie. Możeby wielebny pan zechcieli pierwszy zabrać słowo.

Ksiądz-staruszek poprawił okulary na nosie, zażył szczyptę tabaki, zamknął z trzaskiem tabakierkę, a kiwnąwszy siwą głową, spojrział nagle bystro na wydziałowych i powiedział:

— Sądzę, że nad dzisiejszym wyborem nie trzeba nam się długo zastanawiać. Mamy już przecież tutaj we wsi wzorowego nauczyciela, który się potrafił zżyć z gminą i zastosować do jej potrzeb. Zdobył sobie serca prawie wszystkich tutejszych obywateli, a co najważniejsze, działwa szkolna to już wprost przepada za nim. Czy myślicie, kochani, że znajdziecie odpowiedniejszego od niego?

— Co prawda, to prawda — odezwał się wójt, wpadając znów w swoje narzecze śląskie. — Wedle moigo głupigo uznania je to chłop akuratny, rzetelny, niepyszny, a co je nejąłówniejsze trzymo szkołę w porządku. Wiem przeca, jaki postępy robią dzieci w szkole. Jo bych był za tem, żebychmy se go jako stałego rektora w gminie wybrali. Jezech przekonany, że tego nie będziemy nigdy lutować. Cóż ty na to, Sikora? Mów, jeześ przeca pierwszym radnim.

— Cóż jo tam mom więcej prawić, dycieś ty už wszycko powiedział — zauważył Sikora, rozkładając ręce. Że ś niego je chłop morowy, to każdy przyznać musi. Jo bych był bardzo za tem, abychmy se go wybrali!

— Żeby se potem twoją cere wzion — palnął zniennačka Herniok, drugi radni, złośliwie.

Gdyby jasny piorun był między nich uderzył, nie byłiby sie bardziej zdziwili. Przedewszystkiem Sikora osłupiał na moment, bo przecież podobnej myśli, jaką podsuwał Herniok, nigdy nie

niał. Spojrzeli wszyscy na niego z szeroko rozwartemi oczyma, czekając z napięciem, co też odpowie.

— Jo, jesi mom dziełuche — rzekł wreszcie zaperzony z naciskiem — to nie potrzebuję dlo ni galanów chytać na wędke, jak ty to robisz. Jo w gospodarach nie częstuję pachółków, ani ich też w nocy nie kludzę pod ramie do chałupy i nie przystawiom im drabinki pod okno izby, kaj cera spi.

— Toś dostoł — bąknął szyderczo Małysz do Hernioka.

— Kiejzech komu drabinke przystawioł, he? — zwrócił się Herniok z gwałtownym ruchem do Sikory. — Widziołeś? Odpowiesz za to przy sądzie, poczkej jeny! Jesich drabinke komu przystawioł, to żodnego gor nic nie obchodzi!

Wydziałowi na takie wywody poczęli się wesoło śmiać, po ziemi spluwać, a Gajdaczek, uderzywszy żartobliwie Hernioka w plecy, rzekł: Poćmina jedno, a dyćech jo roz widzioł na włóśne oczy te drabinke pod okienkiem twoi cery przystawionom. Kanolio staro, cóż to na twoi stare roki taki bezperactwa wyrobiosz?

— Cicho, moi ludzie — upominał wójt. — Przecach my tu nie przyszli na to, by sie obierać z takimi rzeczami. A ty Herniok, jak chcesz słowo w sprawie wyboru powiedzieć, to rzeknij co mądrego, coby sie to na co godziło. Dyceś je drugim radnin, i tóż nie pasuje na ciebie tak głupio fulać.

— A czych nie pedzioł słószne słowo? — obruszył się Herniok, żując munsztuk od fajki i skrzykując żółtą ślinę raz wraz koło siebie. — Dyć Sikora jeny na to czychnie, szak mi to wyrządzała dziewczka, co u niego słóży. A potem co do tego waszego rehtora, co go tak chwolicie: Na dyć to człowiek strasznie, słószny i hyrny. Przydzie do gospody, to se siednie tam ku fajniej-

szemu stołu w rogu, co je serwetami nakryty. Po nauce chodzi se pyszny po szpacyrach, przytyko jakisikej szkła czy perfekta ku oczom i dziwo sie na gory jak błozen, a człowiek to sie musi tropić, harować na roli, robić na tych pasibrzuchów, a on se tak tu pod nosem bee szpacerował! Widzicie go! Kopaczke mu dać lebo cep do gorści, niech sie też łogibo łazenga jak jo! To tam nima żodno robota, wysiadować całymi dniami we szkole i fulać ze smarkoczami. Iberhapt nie rozumiem, na co nom są te rehtory, szkoły i czert wie cało ta nauka. Na dyć jak mój pasterz umie gnój z chlewa wychybać, to co mu tam wiedzieć, że »gnój« to je jakisikej rzeczownik, a »wychybać« jakisikej czasownik. Zamiast krowy paść, to ślęczy we ślabikorzu nad literami a nie patrzy bydła. Rehtorów nie trzeja na świecie, chłopi sie bez nich obejda. Nom jeny trza dobrych halwokatów, coby nas umieli jak sie patrzy bronić, jak sie czubiemy z sąsiadami, trzeba nom też chytrych żydków, coby sprowadzali dobrą i silną gorzole na frasunek, no i więcej gor nic. Ale skoro už mom wybierać tego rehtora, to wóm akurat na złość nie głosuję za tutejszym, jeny za jednym z tych inszych trzóch, wszycko jedno za kierym. Niech bedzie pierszy lepszy. Telach wóm miol powiedzieć, i zaroz mie też popuściło na dołku, żech wóm prowde wewalił do oczy, i onym też, wielebny!

Książdz potrząsł smutnie głową i rzekł po namyśle:

— Przemawia z was, kochany sąsiedzie, bezdenna nienawiść do wszelkiej inteligencyi, nienawiść do szkolnictwa i oświaty. Szczęście, że chłopów waszych poglądów dzisiaj znachodzimy bardzo rzadko. Te czasy, mój kochany, kiedy chłop dla własnej szkody, dla własnego poniewierania i poniżania trwał zawzięcie w swych zacofanych poglądach, w interesie żydów i nieuczciwych ad-

wokatów, zarabiających na jego ciemnocie krociowe majątki, dzięki Bogu minęły bezpowrotnie. Dzisiaj każdy przeciętnie uświadomiony wieśniak potrafi należycie ocenić wartość oświaty ludowej, czego dowodem liczne szkoły, rozsiane po całym kraju. Nauka, to skarb nieoceniony i dla najbiedniejszej warstwy narodu. Tylko lud światły, wykształcony i należycie wychowany potrafi się wygodniej na tym tu świecie marnym urządzić, — światły lud nie pozwoli sobą pomiatać, potrafi się mądrze bronić, a z drugiej strony oświata prawdziwa zbliża go do Pana Boga.

— Święto prawda — przytakiwali wydziałowcy. — Mówią wielebniczku, jak z Pisma świętego.

— Mogę i ja to poświadczyć — ozwał się Gajdaczek. Byłem w Ameryce, we Francyi, w Anglii, byłem i na wschodzie, w Rusku, kaj oświata stoi nisko, kaj sie ludzie na oświacie tak zapatrują jako nasz Herniok. Widziołem som, jak se noród na zachodzie pięknie żyje, a czemu? Bo je szkolony! A czemu ta nędza ludu w Rusku? Bo je ciemny i wyzyskują go do ostatni kropelki krwi. Oj ludzie, ludzie, gdybyście tak przeszli świat, jakoch ja przeszeł, widzielibyście sami, co to znaczy dobro szkoła i oświata.

— To pocóżeś mądroku nie zostół w tej Ameryce — zapytał Herniok.

Zarobiłem se grejcar i wróciłem na ojcowski zagon — rzekł Gajdaczek. — A będę zawsze do tego dążył, aby sie oświata u ludzi podniosła, bo mi żół patrzeć, że to pomiędzy nami eszcze takie nieokrzeseane hyrtonie, grondole, mamlasy, takie otroki mizerne i głupi, aż strach bierze.

— No skończmy, ludkowie — napominał wójt. — Wróćmy do naszej rzeczy. Czy eszcze kiery słowo zabiero.

— Tóž mów, Plinta, co mosz mówić — zwrócił się Herniok do swego sąsiada. — Wiesz coś

mówił wczoraj w gospodzie. Obiecołeś iść razem ze mną.

— Ep, synku — wymawiał się zawstydzony Plinta. — A dyć oto ci wszyscy mają recht i prowde prawią. Co oświata to oświata, synku, — przy kieliszku sie inaczy mówi, ale jak człek mo zdrowy rozum, ni może głupio pleść. Joch je za wielebnym i głosować bedym za naszym rehtorem.

— Widzicie go — porwał się rozjuszony Herniok na stolku. — Wczoraj toś chlapoł gorzołe se mną, a dzisio mie opuszczosz. Ale powiedz ty tam, Herzyku, jako myślisz. Przecież pójdziesz za mną.

— Jo już tam nie wiem — odpowiedział Herzyk markotnie. — Dyć i tak je większość za rehtorem. Poco bych sie miał większości sprzeciwić?

— A ty gibasie jeden! — ofuknął go Herniok, czerwony w twarzy jak burak. — Pamiętej, że do tydnia wrócisz mi dwacet reńskich, coś na prosie odemnie pojczol!

— Któż jeszcze zabiero słowo? — spytał wójt.

Nikt się więcej nie zgłosił, zaczem przystąpiono do aktu wyborczego. Wybór przeprowadzono przez aklamacyę. Wszystkie głosy, oprócz jednego Hernioka, padły na miejscowego nauczyciela. Herniok zaklął siarczyście, uderzył pięścią o stół i wyniósł się wściekły za drzwi.

— Mosz djoble roroty! — zawołał jeszcze za nim Gaszczyk.

Po wyborze zebrali się wydziałowi w gospodzie. Czekał już tu na nich nauczyciel z wielką niecierpliwością, boć to przecież ważyły się w tym dniu jego losy. Siedział samotny w rogu za stołem; a ile razy wszedł ktoś przez drzwi, zrywał się z miejsca, sądząc, iż wyborcy wracają.

Najprzód pokazała się postać Hernioka. Ujrawszy nauczyciela, wyszczerzył zębska, potoczył wzrokiem po ziemi i rzekł:

— Tóż uż tu zostaną w naszej dziedzinie, bochmy ich wybrali. Ale to im zaraz mówię, że muszą zrobić mało-wielką pijatykę, jak się pa-trzy.

Nauczyciel uściskał mu wdzięcznie dłoń. Toć to przecież ten Herniok nie najgorszy, jak sądził. Głosował za nim, chociaż do ostatniej chwili był mu wrogo usposobiony.

— Dziękuję wam, Hernioku — rzekł do chłopa. — Widzę, że będziemy dobrymi przyjaciółmi. Ale wypijcie oto zaraz na tę naszą zgodę.

Kiedy po chwili weszli do szynku wydziałowi z wójtem na czele, niemało się zdziwili, widząc nauczyciela w poufalej pogadance z Herniokiem, pociągającego tego ze dzbana, przez nauczyciela zamówionego.

— Pociście chamy przyszły — zwrócił się szyderczo do wydziałowych. — Mogliście uż zostać siedzieć w kancnaryi, jo by se tu z tem piwem i gulaszem rectorowym som doł rade.

— A cóż to Hernioku tak libeźnie z rectorem rządysz? — ozwał się Gajdaczek do niego. Tyś jeden mu nie doł głosu, na rectorów eś przezywoł, a teraz go jeszcze wyżyrosz, ty niemořeśniku, ty łapikaszo.

— Kie chłop zapłacił, cobyh ni mioł żrać abo chlastać — odparł Herniok cynicznie. — Siednijcie ku nom, jak wom żol.

— Nie myśl se ty faryzeuszu — odciął mu Małysz — żeśmy jeny skyrs tej pijatyki dali rectorowi głosu. — Rzekłszy to, pociągnął towarzyszy za inny stół, lecz nauczyciel poprosił ich uprzejmie, żeby mu nie odmówili towarzystwa i z nim razem spędzili jakiś czas na miłej rozmówce.

— Siednemy radzi — oświadczył Sikora — jeny tego bąka nagnają do kąta. To przeca hruza, co to za podły karakter z tego Hernioka.

— Co mi tu beesz kozani robił?! — krzyknął Herniok — podnosząc kufel na Sikorę. — Siedże se, bo sie mi tu podobo, a wom, jak nima recht, to pakujcie, skądżeście przyszli.

Ale go chwycił Gajdaczek, siłacz co sie zowie, za kołnierz i »szpyrtnął« nim pod szynkfas, że sie począł po ziemi czołgać i po pijanemu wyrzaskiwać:

— Poczkej jeny, Gajdaczku gajdowaty, jutro idę do halwokata na žalobe i skarżę cie za pobici. Rechtór mi bee świadczył.

Wtedy go Gajdaczek chwycił za pasek od spodni i wyrzucił za drzwi do sieni.

— Uż se biegnij do halwokata, abys się marcho nie spóźnił..

— Herniok sie jakoś nie śpieszył do adwokata, bo jeszcze chwilę krzyczał ochrypłym głosem za drzwiami, wygrażając się wszystkim, potem począł płakać, że nim tak poniewierają, choć jest drugim zastępcą wójta i honorowym gazdą we wsi, a w końcu zanucił sobie baranim głosem:

*Boże wspieraj, Boże ochroń,
Nam cesarza i nasz kraj!*

A kiedy to prześpiewał, wcisnął się za beczkę i usnął.

Dopiero teraz poczęli wydziałowi gratulować nauczycielowi z okazji jego wyboru, zasiadając ku niemu, by się wspólnie zabawić.

Nauczyciel uczył, jak mu serce radością wzbiera. Więc pozostaje już tu w tej wsi na zawsze, nie będą go już po roku służby znów na inną posadę przenosili. Skończyły się te dręczące niepewności co do jego najbliższej przyszłości. Jego egzystencya jest zapewniona, zostanie samostnym kierownikiem miejscowej szkoły.

VIII.

Cienie i światła.

— Do Krysta Pana, ludzie, dziwiejcie się, co to hanej idą za panowie ku gospodzie! — krzyczała Hana Mokryszowa przerażona.

Wszyscy wylecieli ze stodoły i patrzą przestraszeni. Oto kroczy egzekutor sądowy, za nim żandarm i jeszcze jakiś pan w okularach z czarną bródką. Żle to, jak się już tam we wsi pokoże ten panoczek w kaszkiecie, z księgą pod pachą.

— Bee kogosik fantował — mniemał stary Mokrysz, a broda poczęła mu się trząść, że to i on zalegał z podatkiem w urzędzie.

— A dyć idą do karezmy — pocieszał parobek. — Można tak jeny na świeży luft do dziedziny przyszli.

— Ep, synku — zaprzeczał stroskany Mokrysz. — Zrobią ci oni luft komusikej, zrobią, aż zasmerdzi!

Tymczasem egzekutor, nie zważając wcale na krzyki ludzi i ich wylęknione miny, kroczył sobie powoli, a wyjąwszy z torby kielbasę i kawałek chleba, zajadał smacznie. Również i żandarm żuł coś, poprawiając wciąż karabin na plecach, a tylko ten trzeci pisarczyk w braku jakiegś przekąski smolił papierosy.

Weszli wszyscy do szynku, a gospodzki, zajęty właśnie nalewaniem wody do trunków, tak się okropnie przeraził, że upuścił flachę borowiczki w kanwię wody, przez co nie trunek, lecz woda sfałszowana została. Ręce poczęły mu się dygotać jak w febrze, nogi się pod nim zachwiały i ani nie odpowiedział na pozdrowienie przybyłych. Zalegał i on z podatkami w urzędzie, z czem był pewien, iż go przyszli »fantować«.

— Gdzież to tu jest do Hernioka — zapytał egzekutor.

— Do Hernioka? A cóż tam macie u niego, panowie? — zapytał z ulgą na sumieniu.

— Idziemy go fantować — oznajmił pisarz z poważną miną. Sądzi się ze sąsiadami, proces przegroł, a teraz nie chce ani halwokatom, ani sądom płacić, jucha.

— O jej, jej — chwycił się gospodzki za głowę, chociaż poczuł w sercu ogromną radość, że ci panowie nie jego zamierzają brać do habtaku. — Ale wypijcie państwo oto, beecie podróżą zmęczeni. Pijcie na moi konto, nic to nie kosztuje. Jo to rod takich panów częstuje.

Nie dała sobie to »konwisya« dwa razy powiedzieć. Zasedli do stołu, popijając świeże piwko i paląc gratisowe cygara. Gospodzki zaś prędko wysłał służącą do Hernioka, dając mu znać, że fantownicy są w drodze do niego. Przecież Herniok był jego stałym gościem i przeto go nie mógł w biedzie opuścić.

Ledwo służąca wyszła, wsunął się Herniok, już tego podchmielony, drugimi drzwiami do szynku. Gospodzki przypadł do niego, szepcząc mu na ucho:

— Dłobości, człowieku, fantownicy idą do was. Teraz haniej jeszcze siedzą. Idźcie przeca do chałupy, a uchylcie co droższy sprzęt, bo wom wszystko zapieczętuja.

— A tobych się podziwoł! — huknął Herniok na całe gadło. — Niech jeny bisagi do mnie przydą, pokożę im, kaj mulorz na nich dziure w ścianie zrobił. — A potem, zbliżywszy się z bezczelną miną ku stołu, rzekł nieco łagodniejszym tonem:

— Bezinali idziecie do Hernioka, panowie?

— Właśnie chcemy jeszcze wziąć ze sobą wójtą z gminy i pójdziemy. Możebyście nas tam poprowadzili, jeżeli wiecie, gdzie ten Herniok mieszka.

— No, no, jakby chcieli, to ich tam pokludze — rzekł zuchwale. — Ale teraz se jeszcze popija

ze mną. Gospodzki, smrodlawy żydzie, a dej tam liter tej lepszej.

I piła »konwisya« z Herniokiem, nie domyślając się, z kim mają do czynienia, ponieważ egzekutor jak i żandarm od niedawna w urzędzie zasiadali i ludzi w swoim okręgu jeszcze nie znali.

Kiedy już wszyscy mieli tęgo w czubie, wybrali się w drogę do Hernioka. Po wójta posłali chłopca gospodzkiego. Na czele tej dziwacznej grupki szedł Herniok, zataczając szerokie koła po gościńcu. Czapkę zsunął na bakier, prawą rękę podniósł do góry i śpiewał sobie wesoło:

*Na tej łące zielonej,
Pasą sie tam jelenie — hu, ha!*

Ludzie wychodzili z domów, dziwując się, co by to wszystko miało znaczyć.

— A to Herniok, jako drugi radni — tłumaczyli sobie niejedni — kludzi konwisyj. Popili se wszyscy hersko, jak widać.

Stary Mokrysz już schował gdzieś na strychu za kominem swój stary kozuch — na wszelki wypadek.

— Jezu Kryste! — krzyknęła Herniokowa. — A cóż ty, stary, wyrobiosz? Pocóżeś tu tych panów skludził?

— A kiej chcieli iść do Hernioka! — odpowiedział. Przeca jo, jako zastępca fojta, muszę być przy fantowaniu.

— Gdzież macie gospodarza? — zwrócił się egzekutor do baby.

— A czyście wszyscy poszaleli? Dyć przeca oto z wami przyszeł!

— Jak to? — zdziwiła się komisya. — Wyście Herniok?

— Tak jest, panowie, joch je Herniok, radni tu z tej wioski, zastępca fojta, starosty, prezydenta i samego cesorza.

I zaśpiewał »Boże wspieraj, Boże ochroń«, co zawsze zanucił, kiedy sobie przypominał, że jest zastępcą cesarza. W tej chwili też i wójt nadszedł z opłotków.

— Dzień dobry, szanowne państwo! — rzekł.
— Cóż to tu znów macie?

— Bedemy teraz tego zastępcę cesarza fantowali. Pomóżcie nam, fojcie, bo z nim nima co mówić. Widzicie sami, jaki oźrały.

— Co? Joch oźrały? — krzyknął obrażony Herniok. — Czyście łachy razem ze mną nie żrali, za moi piniądze, co?

— Cicho bydźcie, nie obrażejcie osób urzędowych — zgromił go żandarm.

— A co mi ty plundroku wszywacki beesz na moim groncie naporządzoł? Wynoś sie mi za pogody, padom ci!

— Kusz! — zahuczał żandarm.

— Kryste Panie! — jęknął przerażony wójt.
— Co ty robisz Herniok? Przeca sie pamiętej.

Wtedy Herniok podniósł z ziemi drąg i uderzył nim żandarma przez ramię. Rozwścieklony żandarm rzucił się na niego, powalił na ziemię i w mgnieniu oka kajdankami skrupował. Żona i czeladź podniosły przeraźliwy lament, poczęły żandarma błagać, lecz ten, sapiąc i klnąc siarczyście, szarpnął Hernioka, szamocącego się, za ramię i pchnął przed siebie na drogę, prowadząc go jak ostatniego zbrodniarza do miasta.

W jego nieobecności przeprowadził urzędnik z wójtem egzekucyę w domostwie.

Wójt, do głębi wzruszony całym zajściem, wracał z pochyloną głową przez wieś. Coś podobnego nie zdarzyło się jeszcze w jego wiosce. Co też to ten Herniok narobił! Niby to wydziałowy, drugi radni, a robi taką gańbę wiosce, na śmiech i drwiny światu, że to takich podłych ludzi mają w urzędzie gminnym.

Przed szkołą spotkał się z nauczycielem.

— Wiedzą już, co się z Herniokiem stało? — zagadnął nauczyciela.

— Właśnie opowiedziała mi wszystko Pagielowa. Ależ to straszne rzeczy wyrabia ten wasz radni!

— Dziwają się, panie rehtór! Gańba i wstyd dło całego wydziału. I to eszcze dziśka musiało się mi to wydarzyć, kiedy obchodzę dwudziesty piąty jubileusz moigo urzędowania, jako fojt we wsi.

Markocił się ogromnie, ale go nauczyciel pocieszał, że taki Herniok nie może uszczuplić jego zasługom i uczciwej pracy. Błąd popełnili tylko ci, co go swego czasu wybrali jako członka do wydziału gminnego.

— A przydą też tam, panie rehtorku, isto po połedniu do nas — zapraszał wójt na uroczystość jubileuszową. Zabawjemy się szykownie. Taki też to dziśka piękny czas, wiosna tako hersko powstała, chociaż to dziepro jutro mamy pierwszego maja. Ale zostaną z Bogiem, a nie zapomną przyjść zaroz po nauce.

Jakoś przed wieczorem przybył nauczyciel do wójta. Zastał już tutaj sporo gości, jako to księdz proboszcza, adjunkta, komisarza ze starostwa, kilku panów z urzędu, wójtów z sąsiednich wsi, wszystkich wydziałowych i przedniejszych gospodarzy z miejsca z żonami, a między innemi była i Hela Sikorowa. Uroczystość była wspaniała, huczna. Toastowali ksiądz, urzędnicy, wójtowie i nauczyciele, gwarno i rojno było we wszystkich pokojach jak na wielkiem weselu. Wójt siedział ze złotym krzyżem na piersiach, przypiętym mu przez komisarza, obok najprzedniejszych swych gości. Jego twarz promieniała, a z oczu ściekały mu często grube łzy, gdyż był całą tą uroczystością niezwykle rozrzewniony.

Brzęczały szklanki, roznosiły się dymy palonych cygar, odurzał zapach pieczeńi, odżywały

się wesołe okrzyki, śmiechy, żarty, a tylko gdy ktoś wygłaszał jakąś mówkę na cześć jubilata, przycichło na chwilę wszystko, a wkońcu podnosiła się ogłuszająca burza oklasków.

— Niech żyje nasz wielce czcigodny fojt!

— Niech żyje nasz pan burmistrz!

— Niech żyje! Wiwat, niech żyje nam jeszcze sto lat!

Nauczyciel siedział trochę na uboczu z adjunktem, ubranym w śliczny mundur leśniczego z złotymi listkami na zielonym kołnierzu, jako oznakami swego zawodu. Rozmawiali sobie swobodnie, wesoło. Adjunkt zwłaszcza był w jakimś rozkośzonym podnieceniu.

— Wyobraź sobie — ścisnął przyjaciela za szyję — co mi Sikora dziś powiedział!

— Cóż takiego?

— Widzę — powiedział mi już w podchmionym stanie — że się trapią, panie adjunkt. Wiem, co ich żere, bo jejich oczy wszystko zdradzają. Ale się nie boją, to wszystko się stanie, czego se życzą! — Uścisnął nauczyciela tak mocno, że tenże aż z bólu syknął.

— A więc oświadczyć się już raz — radził mu Wiktor.

Chciał to wypowiedzieć tonem przyjaznym, spokojnym, ale go tak coś w gardle dławilo, że zaledwo jeno szeptem wytchnął. Zrobiło się mu duszno, w oczach pociemniało, więc wyszedł z hałaśliwej izby przed dom, puściwszy się samotną aleją ogrodową w stronę otwartych pól.

Na skrócie alei, około altanki małej, w bluszcz zarosniętej, spotkał się zmienacka z Helą. Drgnął i już chciał niepostrzeżenie w bok skrócić, ale go zobaczyła, więc przystanął z bijącym sercem.

— Myślałem, iż pani bawi się z rówieśniczkami na podwórzu, a tymczasem się pani tak jałkoś markotnie po pustym ogrodzie przechadza.

— Sprzykrzyło mi się hałaśliwe towarzystwo — odpářła. — Zresztą i pan nauczyciel odbiegł swych kolegów.

— Bo mi rzeczywiście za gwarno między nimi. No ale przejdźmy się troszeczkę, wszak dziś taki cudny wieczór wiosenny.

Rzekłszy to, podał jej ramię i posunęli się między jabłonie, okryte śnieżno-różowym kwieciem, w głąb ogrodu, tonącego w delikatnej niebiesko-fioletowej mgle. Serce biło jej gwałtownie i miała uczucie, iż nie stąpa po ziemi, lecz że się unosi obok niego w powietrzu, że płyną jakby na spokojnie posuwającej się łodzi gdzieś w nieznaną, czarowną dal, że rozplywa się jej istota w lubą, słodką atmosferę.

Słońce dotykało właśnie szafirowej krawędzi widnokregu, zorza rozgorzała się w ciemnoczerwonych ogniach i cały świat stanął niby w morzu krwawych płomieni. Przyroda jakby na chwilę przycichła, tylko w powietrzu rozlewała się ciężka, upajająca woń kwiecia, a potem przeszedł lekki, ciepły powiew, drzewa owocowe zadrzęły leciuchno i z gałęzi posypały się kwiaty jak tumany śniegu na zwilżoną trawę. Równocześnie ozwało się w ukryciu na wysokiej gruszy jakieś ptaszę tkliwym, rozmarzonym a tęsknym głosem, rozśpiewało się tak serdecznie, aż ciarki przechodziły. Nad górami srebrzył się półksiężyc a pierwsza gwiazda zatiła się na wieczornem niebie.

Siedli na małej, darniowej ławce pod kwitnym bzem. Długo wpatrywali się milcząco w gasnącą zorzę, która resztkami swych różowych promieni oświeślała ich zachwycone twarze.

— Że to ten świat taki śliczny, a ludzie na nim niekiedy tak bardzo nieszczęśliwi! — szepnęła Hela.

— Pani taka młoda, a już snuje takie ponure myśli — odparł. — Przecież pani ma świetlaną przyszłość przed sobą.

— Skąd to może pan wiedzieć i tak stanowczo twierdzić?

— Pani jesteś bezgranicznie kochaną przez młodzieńca przystojnego, miłego, nad wyraz szlachetnego — mówił głosem monotonnym, usiłując się rozszalałe uczucia w swej duszy przygłuszyć.

— Pan ma na myśli adjunkta?! — rzekła.

— Tak, adjunkta!

Wtedy pochyliła główkę na piersi, a przez jej twarz przemknęły się dziwne cienie. Nagle zadrżała jak osika a z oczu jej puściły się potoki gorących łez.

— Dlaczego pani posmutniała? — zapytał wibrującym głosem. — Czy pani rzeczywiście czuje się tak nieszczęśliwą? — Mimowoli pochyliła się ku niemu, a główka jej spoczęła mu na rękach.

— Mów, Heło, co tobie jest? — rzekł jej do ucha głosem opiekuńczym.

A ona spojrzała mu w oczy, a jej wzrok szarpnął go jakby żelazem rozpalonem za serce.

— Kiedy ja nikogo tak nie kocham, jak... jak pana nauczyciela — zwierzyła się szczerze.

Nauczyciel się przeraził, krew skrzepła mu w żyłach. Na chwilę stracił o wszystkim pamięć, a tylko jego wewnątrz rozpieierała ta rozkoszna świadomość, że ta, która tak szczerze i otwarcie mu wyznała uczucia swego serca, tuż obok niego siedzi. Pochylił twarz nad jej różowymi ustami, lecz nagle przeraziła go myśl o Karolu. Ujrzał przed sobą duszą zatrwożoną jego oczy błagalne, łzami zalane. Zadając nagły, krwawy cios swemu sercu, rzekł spokojnie:

— Nie mogę dla pani tego samego odczuć. Szanuję panią nad wyraz, kocham szczerze po przyjacielsku i jako dobry przyjaciel radziłbym

pani adjunkta nie odpychać. Ręczę, że pani będzie z nim bardzo szczęśliwa, boć to człowiek prawy i dobry.

Powiedziawszy to, czuł, że go siły opuszczają. Czuł się tak strasznie zmęczonym, jakby po ciężkiej pracy fizycznej, a w jego duszy nagle coś się zerwało, że ogarnęła go zupełna apatya.

Hela, podniósłszy się, zamilkła, jej twarz pokryła się trupią bladością. Siedziała obok niego jakby z marmuru wyrzeźbiona.

Potok mruczał jednostajnie za płotem, ptaszek umilkł, czarna chmura przysłoniła księżyc, że zapadła nagle ciemność na ziemię, a gdzieś za ogrodem zahuczała ponuro sowa.

— Chodźmy stąd — rzekła po chwili słabo — zimno mi jakoś!

— Tak, chodźmy. Rzeczywiście ochłodziło się bardzo.

Podał jej ramię i poprowadził ją aleją do domu. Szła jakby martwa, zdrewniała. Zdawało się jej, że schodzi gdzieś w chłodną, cuchnącą mogiłę, że jej dusza ulotniła się niepowrotnie gdzieś w czarną otchłań, serce nagle zamiera.

Nazajutrz odwiedził nauczyciel Karola w leśniczówce. Czuł się tak przygnębionym, jak dotąd nigdy w życiu. Kiedy go Karol ujrzał, wybiegł na jego spotkanie z oznakami niebywale u niego wesołości i zachwytu, zwiesił się mu na szyi, uściśnął i rzekł z promienną twarzą:

— Jesteśmy zaręczeni! Przedstaw sobie, mój drogi, jak to prędko poszło. Oświadczyłem się jej wczoraj po twojem odejściu i przyjęła me wyznanie miłości. Rodzice jej, jak przewidywałem, są wielce z tego zadowoleni.

Wiktor pobladł w twarzy, serce mu boleśnie zakolałało, ale się wnet ocknął, a ścisnąwszy prawicę przyjaciela, rzekł:

— Życzę ci wszelkiej pomyślności i szczęśliwego pożycia.

Także matka adjunkta nie posiadała się z radości, chociaż ręce niby z wielkiego kłopotu zalamywała.

— Ponbóczku mój — biadała, śmiejąc się — co on mi roboty z tym kramem doł. Trza hónem obstarac się o cychy, o koszule, trza mu jeszcze pierzyny nasuć. Kryste panie, co to wszycko trza jeszcze przed wiesielim wyrychtować.

Adjunkt, oprowadzając nauczyciela po całym swym obejściu, wyjaśniał mu swe różne projekty co do przyszłego urządzenia w domu, skoro już żonkę sprowadzi do leśniczówki. W niejednym pytał Wiktora o radę, jakby to lub owo najlepiej ułożyć. Zmieniał co chwila plany, powzięte zamiary, by je zastąpić innymi, dogodniejszymi.

— Jakże myślisz, drogi, czy moglibyśmy tu mieć izbę gościnną? — zapytał, wskazując mu najobszerniejszy swój pokój.

— Nadaje się doskonale — oświadczył Wiktor. — Odpowiedniejszego pokoju nie masz na to.

— Nieprawdaż? — klasnął zachwycony adjunkt. — Bo też to ślicznie nam tu będzie. W środku izby stół, naokoło wysokie krzesła, suknem obite, między oknami zwierciadło, w kątach szafy, nad szafami strzelby i trofea myśliwskie, na podłodze dywany, przy piecyku kanapa. Co ty sądzisz, jakie obicie byłoby odpowiednie, zielone czy czerwone?

— Zielone będzie ładniejsze. Jasno zielone! — radził Wiktor.

— Masz takie same gusta co i ja, Wiktoru. Mama wciąż we mnie wmawia, że czerwone obicie krzesel jest najładniejsze w świecie.

— Także ściany muszą być zielono tynkowane — dodał Wiktor. — Kolory muszą być harmonijnie do siebie dostosowane.

— Masz słuszność! W niedzielę zamówię w mieście pokostnika. Ale chodźno teraz ze mną do kuchni. Patrz jeno, czy to nie ślicznie będzie

Helci do twarzy, gdy się w białym fartuszkę będzie uwijała tu koło blachy? Pyszności! — Objął w poły nauczyciela i podniósł go w górę.

— Tak, tak — potwierdzał Wiktor.

Pomyślał smętnie, że i on kiedyś w swej kuchni szkolnej snuł podobne marzenia o żonce rumianej, wesołej w białym fartuszkę. Dzikie szlochanie cisnęło mu się do gardła, ale się przezwyciężył.

— Często sobie z mamą opowiadamy — zwierzał się Karol — jakie to lube uczucie człowieka ować, kiedy tak jesienną porą, zziębnięty i przemoknięty wróć do leśniczówki, a Helcia mię powita uprzejmie, posadzi obok siebie przy ciepłej blasze. Chodźmy teraz do ogrodu, musisz mi też niejednej wskazówki udzielić. Patrzno, co sądzisz, czy możnaby tak pod tym bżem postawić ławeczkę ze stołem, albo czyby była ładniejsza altanka? Wieczorami w lecie będziemy sobie tu we dwoje siadywali, a jeżeli do nas przyjdiesz, będziesz nam towarzyszył jako najdroższy przyjaciel, brat i opiekun.

Mówiąc to, począł Wiktor po twarzy i oczach całować i rozplakał się jak dziecko. Wtedy i nauczyciel, nie mogąc dalej zapanować nad swymi uczuciami, zaczął tak lkać, że aż Karol, zajępokojony, musiał go uspokajać.

— Jakiś ty szlachetny! Tak się wzruszać nad mojem szczęściem, żeby rodzona matka bardziej nie potrafiła! O drogi, drogi ty mój przyjacielu! Wierz mi, że obok Helci ty jesteś mi najdroższem stworzeniem na świecie. Ale uspokój się! Przecież to śmieszne beczec jak barany. No, chodźże dzwaku, pokażę ci teraz grządki. Ha, ha, jakie on ma czule serce. Ale on zawsze takim był, od studenta, jako go pamiętam.

Nauczyciel, ocierając łzy, poszedł za Karolem w bok ogrodu. Stał się weselszym, a nawet uczuł pewną ulgę w sercu. Czyż mogła Hela do-

stać godniejszego i miłszego męża od Karola? Czyżby on ją ze swym ciężkim, melancholijnym temperamentem zdołał uszczęśliwić? Czyż Hela przy boku jego szlachetnego przyjaciela o tak gorącym i czułym sercu nie posiędzie nieocenionego skarbu? Tak po zimniej rozwadze musiał sobie w duchu powiedzieć, że Hela przy boku Karola będzie szczęśliwszą. A jeżeli ją rzeczywiście kocha, powinien się cieszyć z jej losu, a swoje egoistyczne uczucia zgnieść, zgwałcić i zadowolić się rolą szczerego i uczciwego przyjaciela młodej pary.

IX.

Przyjaźń a miłość.

— Któż tam?

— Na jo, Zuska, dziewczka od Sikory.

— Poczekaj, zaraz otworzę. — Nauczyciel odemknął drzwi i wyszedł przed szkołę.

— Cóż tam masz, dziewczę?

— A tóż oto, taki jeny wiedzą — jąkała się dziewczka, spoglądając trwożnie wokoło — żeby mie też żoden nie widziół, bo im niesę pismo od Heli.

Rzekłszy to, wręczyła nauczycielowi chyżym ruchem liścik w rękę, dodając:

— To tak wiedzą je jeno pokryjomu, żeby żoden nic nie widziół. A jak mi go dowąła, to bardzo płakała. Jo už nie wiem, coby to tam mogło być napisane.

— No dobrze — odprawił ciekawą nauczyciel. — Zwierzyła ci się Hela z listem, pamiętaj, ażebyś się nigdzie nie wygadała. Rozumiesz?

— Ale panoczku — przysięgała prawie Zuska — kajbych też to mówiła. Dyć mie tak pytała, abych im to teraz wieczór zaniósła i żodnemu

ani nie pisnęła. A nie pisnę, bo ona tako dobro aż hej!

— To masz oto na wstążkę, a pamiętaj o twem przyrzeczeniu!

— Dobrze, dobrze. A muszę se obejść szkołę z drugi strony, bo jakech tu szła, to sie staro Kapustkula na mnie dziwała, kaj idę. Może bee stoć a czakać, żeby widziała, skąd wyndę. A do-branoc im też, panoczku, zostaną z Bogiem.

Nauczyciel wszedł do izby, zamknął drzwi na klucz i z bijącym sercem zbliżył się ku lampie. Rozerwał kopertę drżącemi rękoma, wyjął list, i czytał z przytłumionym oddechem.

Drogi mój Panie!

Proszę Was przedewszystkiem, żebyście mi tego listu za złe nie wzięli. Walczyłam dni i bez-senne nocy ze sobą, nimem się zdobyła na ten krok. Otworzyłam Wam moje serce, pałające wielką miłością do Was. Odmówiliście mi, chociaż z Waszych spojrzeń niekiedy nabywałam przekonania, że nie jestem Wam obojętną. Odmówiliście mi, odepchnęliście mię od siebie, chociaż Was ubóstwiałam od pierwszego zapoznania się z Wami, chociaż moja dusza rwała się do Was. Poszłam potem za Waszą radą, by oddać rękę Waszemu przyjacielowi. Zrobiłam to, chociaż do niego ani części nie odczuwałam w sercu tego, co do Was. Zrobiłam to, boście tak poradzili, a ja musiałam Was usłuchać, bo niepodobna Wam w czemś nie folgować. Stałam się narzeczoną adjunkta, chłopaka bardzo miłego, ale moje serce nie zaznało spokoju. Niekiedy mi się wydaje, że się palą moje wnętrzności. Widzę Was we dnie i zmierzchu nocnym, słyszę Wasz głos i mam uczucie, że mnie również kochacie, kochać musicie. Niepodobna, ażeby się moja dusza myliła. Kochacie mnie, tak jest, ale zaparliście się własnego serca, złożyliście je na ołtarzu przy-

jaźni, która Was wiąże z Karolem. Sądzę, iż postąpiliście niedobrze, gwałcąc w ten sposób swoją duszę. Tej ofiary i najszlachetniejszy przyjaciel żądać nie może, żądać nie będzie. Z Karolem będzie można pomówić, on, chociaż z ciężkim sercem, odstąpi od danego słowa, skoro tylko zrozumie, jak do siebie stoimy. On nie zażąda tej ofiary od nas. Chodzi o to, żeby mu otwarcie prawdę powiedzieć. Nie krępujmy się dalej wzajemnie, nie przygniatajmy przemocą świętych uczuć! Należymy do siebie, nikt nas rozdzielić nie może. By się zaś umówić, w jaki sposób mamy złe naprawić, proszę Was usilnie, żebyście zechcieli dziś wieczór pod lipę obok cmentarza przyjść, gdzie — aczkolwiek to za nietakt z mej strony można uważać — Was niecierpliwie z tęsknem sercem oczekiwać będę. — Wasza wierna

Hela.

Przeczytał list, oparł głowę o dłoń i zapatrzył się w drgające światło lampy. W jego pierśsiach rozszalała żywiołowa burza uczuć i myśli. Jakże ma sobie postąpić? Różne myśli przelatywały mózgowicę, lecz kiedy w sercu jego przedarło się silne przekonanie, iż odmowa Heli znaczyłaby dla przyjaciela śmierć, powziął postanowienie trwać z całą stanowczością w zaparciu samego siebie i starać się Helę wykazać, że się co do swych przeczuć względem niego myli.

Tak, inaczej postąpić nie może. Nie cofać się, iść drogą raz obraną, zwłaszcza teraz po zaręczynach Karola z Helą. Zaciśnąć zęby a iść dalej, chociażby się jego serce na popiół miało spalić.

Wstał, ubrał się, zatrzasnął drzwi za sobą i poszedł pod cmentarz. Noc była ciemna, duszna, a taka milcząca, żeś słyszał bicie tętnic w skroniach. Żadna gwiazdka nie paliła się na czarnem niebie, żadne głosy nie odzywały się we wsi, a jego szkoła stała w ciemności jak czarne zwali-

sko jakiegoś kolosu. Stał pod lipą, niedaleko wejścia na cmentarz, siadł na ławkę, założył ręce, wyciągnął nogi przed siebie, oparł się o tylną poręcz i czekał. Serce pulsowało mu tak mocno, aż mu rękoma, splecionymi na piersiach, ruszało.

Niezdolność gorąco ciążyła w powietrzu. Pocił się na całym ciele, twarz paliła mu się jak w gorączce, a włosy zlepiały się na skroniach. Daleko het tam na zachodnim niebie przeleciała niekiedy błyskawica, rozświetlając na moment widnokrąg niebieskawym blaskiem. Po ziemi przeleciało nagle światło, zbite czuby lip zapłonęły, a z marmurowych krzyżów nad mogiłami spływały chyże błyski, niby przelatujące duchy nocne. Po chwili odezwał się przygłuszony, ponury a przeciągły odgłos dalekiego grzmotu, a wszystkie laski i puste łany odezwały się stłumionym echem tak jakoś mrukliwie, jakby zagniewane, że się ich budzi z ciężkiego snu.

Od czasu do czasu powiało gorącym zaduchem od zachodu, zaszeleściło liście w drzewach, zaszemrała trawa, zaszepotały rozkołysane łany zbóż, a często i ptaszyna zakwiliła trwożliwie w swym gniazdku gdzieś w górze w gałęziach lip. Potem znów ta ołowiana cisza, to milczenie i zadumanie ogólne.

Ale niebo na zachodzie rozpalało się coraz wyraźniej i jaśniej, rześiste blaski sypały się coraz częściej, złote, zygzakowate sznury zarzucały coraz bliżej swe krwawe pętlice.

Naraz spłynął rażący, biały żar ognisty z obłoków na ziemię, wstrząsły się łany w okropnym huku, zajęczały drzewa w rozszalałej wichurze. Trysnęły strugi deszczu, pomieszane z gradem, zaszumiało w polach, zapieniły się potoki, a ile razy spadał grom, tyle razy zapaliły się powstające kałuże w olśniewających błyskach.

Zrazu to te odwieczne lipy tylko tak niechętnie zamruczały w wierzchołkach, nie przepusz-

czając wcale deszczu. Ale zmógł je rozwichrzony huragan. Chwycił je w swe szpony, począł niemi trząść, w boki przeginać, gałęzie zrywać, że poczęły huczeć, świstać, jakby z ogromnego cierpienia, a deszcz polał się z ich gałęzi jakby z konwi.

Nauczyciel musiał ruszyć z miejsca. Hela nie przyszła i pewnie z powodu burzy dziś już nie nadejdzie. Poszedł więc z powrotem do szkoły. Deszcz zlewał go, tak iż przemokł do nitki.

Wszedłszy do izby, przebrał się w suchą odzież, a potem stanął przy oknie i spoglądał z pewnem zadowoleniem w szalejącą burzę; jakoś mu było lżej, kiedy się tak zapatrzył w te rozhukane żywoły.

Usiadł do fortepianu, rozłożył nuty na pulpicie, przykręcił światło i uderzył w klawisz. Z pod palców posnuła mu się tęskna melodia jakiejś pieśni ludowej, rozbrzmiewającej w tkliwych, łamanych akordach. Wiatr bił deszczem o szyby, dudnił za oknami, grzmot huczał prawie bez przerwy, a w pokoju rozlewały się dźwięki fortepianu.

Kiedy skończył z wolna smętną przegrywkę, zdało mu się, jakoby ktoś w dali rzewnie płakał. Przystanął, wsłuchując się uważnie w uspokajającą się burzę, ale nic więcej nie słyszał, jak tylko bulgot i ciurkanie wody, spływającej z rynny. Zatopił się więc znowu w swą tęskną muzykę, przechodząc w coraz to żałośniejsze motywy, a jego znękana dusza poczęła z lubością pływać w tych złotych, dźwięcznych strugach, rozplywając się z nimi w jedną harmonijną całość.

Ale znów przerwał. Teraz już wyraźnie do słyszał szlochanie za oknami. Wstał i wyszedł przed szkołę. A tu pod oknem siedziała na ławce Hela, skurczona i łzami zalana. W swej postawie przygiętej wyglądała jak marmurowa figura anioła, płaczącego nad mogiłą dziecka.

— Dla Boga, Helo, co tobie jest? Jakżeś się tu teraz wzięła?

A ona, nie odpowiadając ni słowem, roniła dalej łzy, jakby zapomniana w swym bólu, nie czuła na żadne inne głosy. Nauczyciel przystąpił ku niej, odsłonił jej twarz i spojrzał z uczuciem bezbrzeżnej litości w jej oczy.

— Chodź Helo! — rzekł do niej ojcowskim tonem. — Tu tak nie możesz zostać. Jesteś całkiem przemoknięta, możesz się zaziębić. Co też to wyrabiasz, dziecko? Poczekaj, zaraz rzucę na siebie ubranie i odprowadzę cię do domu.

Uchwycił jej rękę i poprowadził jak dziecko gościńcem. Ona długo nic nie mówiła, tylko niekiedy jeszcze z lekka zaszlochała, łezkę otarła i szła posłusznie za nauczycielem. Nie wspomniała ani słówkiem o liście. Widocznie poznała po zimnych uwagach nauczyciela, że się jednak w swych przypuszczeniach, jakoby ją nosił w sercu, grubo myliła. Uczuła żal, skruchę i wstyd nad swym nierozważnym krokiem. Nie śmiała ani spojrzeć mu w oczy. Jaki on mężny, rozsądny, a dobry. Nie gniewa się na nią, lecz przemawia tak prosto i rzewnie do sumienia. Czuła się teraz wobec niego taką małą, słabą i dziecinną.

— Dlaczegoś nie przyszła pod lipy? — zapytał ją spokojnym, przyjaznym tonem.

— Przyszłam, ale kiedy już burza na dobrze szalała. Schroniłam się pod strzechę-szkoły.

Długo nic nie mówili i tylko tak powoli drogą się posuwali. Niebo się wyplakało, wicher zupełnie ucichł, chmury się rozstały, a z poza ich czarnych, brązowych wałów wychylił się księżyc w pełni, ogromny, szaro-złoty, zimny, dziwnie poważny w swej jasnej twarzy. Zdawał się patrzeć na młodych tak jakoś groźnie, surowo, że Hela, spojrzawszy w jego martwe, lodowate rysy, zadrżała.

Z łąk i zwilżonych pól podnosiły się długie, rozlewne smugi mgły, snując śnieżne puchy ponad gaje, sady i domki. Gdzieniegdzie zarzęgały w kałużach żaby, zaćwierkał w zbożu konik polny lub zaszeleścił świeży wietrzyk w gałęziach drzew, rzucając z nich duże krople deszczu. Powietrze było świeże, ostre, przesiąknięte zapachem zwilżonych kwiatów i ziół.

— Czy się pan nauczył na mnie nie gniewa? — zapytała wreszcie nieśmiało.

— Ach, dziecko — zaśmiał się, siląc się na pogodny, przyjazny ton swego głosu. — Młode jesteś, dobre, lecz niedoświadczone jak każde inne dziewczę w tym wieku. Czekałem na ciebie pod lipą, bo chciałem się z tobą rozmówić i udzielić ci przyjacielskiej rady. Tak jak ty, niejedna cierpi, boleje, ale to wszystko, moje dziecko, przeminie. Serce się ukoi, uciszy. Tylko przez pewien czas przecierpieć, moja droga. Będiesz mi kiedyś wdzięczną za me słowa. Ja tylko chcę twego szczęścia, dziecko, zaczem wskazuję ci drogę, którą masz pójść. Staraj się Karola pokochać, oddaj mu rękę z dobrą wiarą, a będziesz widzieć, że twe serce jeszcze i do niego kiedyś zapłonie. To wszystko przychodzi z czasem, dopiero w życiu rodzi się często miłość stała i wierna. Pamiętaj na moje słowa, że tak będzie. Ręczę ci, Helo, że będziesz kiedyś bardzo szczęśliwą żoną Karola.

Tak mówił do niej, a ona wsłuchiwała się w jego poważny głos; niekiedy wydało się jej, że to tak ojciec do niej przemawia albo ksiądz w konfesjonale.

Niekiedy wprawdzie porwała się jeszcze jej dusza, zapulsowało jej gwałtownie w skroniach. pociemniało w oczach i łkanie cisnęło się do gardła, ale potem spokojną radą nauczyciela zrównoważona, słuchała z uwagą jego wywodów.

— Ale ty się mi przeziębisz, dziecko! — zauważył w ciągu mowy. — Twoja odzież mokra, a

powietrze takie zimne. Cóż tu robić? Do domu mamy jeszcze kawałek drogi, a ty już poczynasz drzeć.

— To chodźmy do Pagielowej — rzekła. — Mogę się tam przebrać.

— Ale coż powiedzą kobiety, jeżeli tak późno wejdziemy do nich? — rozważał z troską.

— Nic nie powiedzą — mniemała. One już o wszystkim wiedzą — dodała z cicha, spojrzawszy nieśmiało z boku na nauczyciela.

— Co ty gadasz, Helo? — zatrwożył się. — Skądby miały wiedzieć?

— Musi się pan nauczyciel na mnie nie gniewać — rzekła błagalnie. — Pagielowa mię bardzo kocha. Była u nas na komornem przez długie lata. Kiedym się narodziła, a matka moja długi czas chorowała, pielęgnowała mię jak własne dziecko Ewkę, które się w tym samym miesiącu urodziło, co ja. Ewka stała się moją najmilszą towarzyszką aż do czasu, kiedy wyszła za mąż. Jest moją powiernicą i najserdeczniejszą przyjaciółką. Wiążą nas węzły nierozzerwalnej, głębokiej przyjaźni.

— A więc wiedzą o wszystkim?

— Wiedzą o wszystkim i one w pierwszym rzędzie utrzymywały mię w przekonaniu, jakie wyraziłam w liście panu nauczycielowi.

— A więc dobrze! — odparł nauczyciel. — Skrećmy zaraz oto w opłotki ich chaty. Nawet jeszcze świecą. Jak widać, zbudziła ich wichura.

Pagielowa właśnie siedziała z córką Ewką przy stole, rozmawiając żywo o burzy, przypominając sobie podobne wichry z przeszłych lat. W kolebce spało dziecko o rumianej twarzy jak dojrzewający owoc. Ewka już nie wyglądała tak smutna i przygnębiona w twarzy, jak przed miesiącem. Jej jasne oczy patrzyły bystro, spokojnie przed siebie. Nic dziwnego, bo ją też myśl o synu wójtowym wciąż zaprzętała. Pono że Janek

na seryo zamyśla się koło niej zakręcić. Mówiono, że już i ojciec nie był w stanie poważnie się oprzeć synowi i miał się przed Sikorą wyrazić, że »kiej sie chce koniecznie z biedotą żenić, to niech zazrak przepadnie. Dyc tam naszego bogactwa starczy.«

Wprawdzie chowała Ewka zmarłego męża zawsze w pamięci i nie było dnia, żeby nie zapłakała na widok jego fotografii na ścianie. Ale musiała sobie sama powiedzieć, że jeśli niema razem z matką popaść w skrajną nędzę, jeśli chce zapewnić swemu dziecku lepszą przyszłość, temu dziecku, którem zmarły do ostatniej chwili żył, o które się tak czule troszczył, nie powinna rzucić Janka, takiego uczciwego i dobrodusznego młodziana. Nie czuje ona nigdy do niego tej namiętnej miłości, co do zmarłego, wyznała mu to nie-raz szczerze, ale on zapewniał, iż zadowolni się zupełnie jej sercem, odczuwającym szacunek i sympatyę przyjaciółki do siebie. Przepadał zdawna za nią i czułby się niezmiernie uszczęśliwiony, gdyby ją posiadał za żonę.

Kobiety właśnie wspomniały o Janku, kiedy nagle zadudniło w drzwi. Przestraszyły się mocno, nie mogąc pojąć, ktoby o tak późnej godzinie mógł jeszcze do ich chaty wchodzić.

— A któż tam? — zawołała z sieni Ewka niepewnym głosem.

— Przebaczcie sąsiadko — odparł nauczyciel zażenowany. — Otwórzcie no na chwileczkę. Przeprowadziłem wam waszą przyjaciółkę. Przemokła na deszczu i musi się gdzieś ogrzać lub przebrać.

— Ale proszę, proszę — powiedziała radośnie Ewka. — Dla tak miłych gości zawsze nasza chałupka otwarta.

Weszli do ciepłej kuchni. Pagielowa mocno się przestraszyła na widok bladej, splakanej Heli.

— Do Krysta Pana — załamala ręce — a co tobie Helciu, mój gołąbku, je? Gdzieżeś tak przemokła?

Helcia ujęła starą za szyję, złożyła na jej ustach pocałunek i rzekła tkliwie:

— Nie pytejcie się, poteczko. Opowiem wam wszystko, jeno mi najprzód dejcie suchą spodniczkę, jakle i koszule. Trzęsę się cała od zimna.

— Dłobości kany, kurzyczko — głaskała ją Pagielowa — a dyc mi się rozchorujesz, aniołeczku. Ewko, przygotuj tam hónem suchą obleczkę. Jezusie Kryste, jeszcze może w ciężką nimoc popaść.

— Pódź do izbeczki, Helcio — pociągnęła ją Ewka do przyległego pokoju. — Przebiorę cię do szcztetu. Boże, jakaś ty mokra.

Zniknęły obydwie w izdebce, a w kuchni pozostała Pagielowa z nauczycielem.

— Do Krysta — rzekła przelękniona. — A dyc to oni fórt stoją jak żebro przy dwierzach. Dyc se przeca oto siedną na stołek. — Otarła prędko fartuchem krzesło z prochu, posuwając je nauczycielowi.

Jeszcze raz was proszę o przebaczenie, Pagielowa — uniewinniał się, siadając na krzesło. — Spotkałem oto Helcię w drodze i poprowadziłem do was, żeby się nie przeciębiła.

Stara spojrziała bystro na niego, a grożąc mu palcem, rzekła:

— Jeny też nie cyganią, panie rector. Pewnie Hela zaś jakisikej głupstwo zrobiła. Wiemy przeca o wszystkim. Powiedzą mi, jaki to było.

— No, mówię przecież — odparł zmieszany nauczyciel — że spotkałem ją na polu. Zresztą może ona wam zajsćie opowiedzieć, jeżeli zechce.

— No dobrze, dobrze — kiwnęła stara głową. — Joch zawsze myślała, że z was bee kiesikej piekno póra. Ale po jejich oczach i mowie, jako też po smutnej gębulce widzę, że z tej mąki koło-

czy nie będzie. A żeby im prowdę powiedzieć, przyznała się mi, że się macie wieczór pod lipą zejść. Joch ji odradzała, ale czy se to taki żgoł do powiedzieć? Chudziok z dzieuchy, ona ich tak przeca rada miała. Dołby Bóg, żeby sie z adjunktem szczęśliwie wydała. Dołby Bóg miłosierny!

X.

Pożegnanie.

Rok szkolny zakończony.

Nauczyciel powrócił właśnie z dziećmi z kościoła do szkoły. Rozdał zeszyty i świadectwa, zaśpiewał jeszcze kilka pieśni z dziatwą, a potem ozwał się do nich temi słowy:

— Kochane dziecieczki! Skończył się nam znowu rok szkolny. Nadeszły wakacye, będziecie przez dwa miesiące używać swobody w domu, na pastwiskach przy bydelku, albo też pomagać będziecie w czasie nadchodzących żniw waszym drogim rodzicom. Dużo nauczyłyście się przez ten jeden rok. Stałyście się mędrsze, poznałyście wiele nowych prawd o Bogu i świecie. Spędziłyście niejedną miłą chwilę w ubiegłym roku szkolnym. A chociaż niekiedy praca umysłowa wymagała od was wysiłku, sądzę, że niejedna chwila tutaj w klasie spędzona, pozostanie wam w milej pamięci. Żegnacie, drogie dziatki, na chwilę tę szkółkę, ale gdy po dwóch miesiącach znów do niej powrócicie, już mnie tutaj, kochane dziecieczki, nie zastaniecie. Powołany zostałem na inną szkołę, daleko, bardzo daleko, a moje miejsce zajmie inny pan nauczyciel. Nie płaczcie, dziecieczki, bo już to tak jest w świecie, że nieraz z tem, co nam do serca przyrosło, rozejść się musimy.

Po tych słowach załamał mu się głos, a z oczu puściły się gorące łzy. Nie myślał on w tej chwili

tylko o swojej kochanej dziatwie, lecz stanęła mu także na myśli inna postać, owa dziewczyna hoża z fiołkowemi oczkami.

— Tak już to bywa, że człowiek oderwać się musi od najdroższych istot w życiu. Zachowajcie, dziateczki, moje nauki w swych sercach, a największą wdzięczność okażecie mi wówczas, jeżeli będziecie waszemu przyszłemu nauczycielowi posłuszne, jeżeli przylgniecie do niego z taką serdeczną miłością, z takim przywiązaniem, jakim mnie darzyłyście. Wspomnijcie sobie często o mnie, a jeżeli mi od czasu do czasu napiszecie liścik, w którym opiszecie mi, jak się wam w życiu wiedzie i co w szkole porabiacie, będę wam bardzo wdzięczny. Może być, że się też jeszcze w życiu, skoro podrośniecie, kilka razy zejdzieny. A tak bądźcie i nadal grzeczne i pilne, sprawujcie waszym rodzicom radość i bywajcie mi zdrowe!

Rzekłszy to, podał każdemu uczniowi rękę. Dziaćwa, rzewnie płacząc, garnęła się do niego, chwytając jego ręce, zwilżając je łzami i okrywając pocałunkami. Najbardziej zaś łkały te starsze, które już ze szkoły miały na zawsze wystąpić. Przystępowały do niego, dziękowały mu gorąco za naukę, a kiedy mu po raz ostatni ścisnęły dłonie, zaniosły się takim rozdzierającym płaczem, że i nauczyciel, do głębi tem przywiązaniem wzruszony, boleśnie zaszlochał.

Wyszedł ostatni uczeń z klasy. Jakiś czas stała jeszcze dziatwa przed szkołą, patrząc smutno w okna klasy. Powoli jednak się rozeszła i koło budynku szkolnego zapanowała uroczysta cisza.

— Pochwalon Jezus Krystus! — Z tem pozdrowieniem wszedł stary Gaszczyk do pokoju nauczyciela. Zdjął kapelusz z głowy, białe włosy opadły mu na czoło, a dymiąca fajka znikła w zasnadrzu.

— Na wieki amen — odpowiedział nauczyciel.
— Jenó sobie dalej pykajcie z fajki, Gaszczyku. Siednijcie!

— A dyc to przeca nie pasuje w takiej szumnej malowanej izbie fajczysko smolić — odrzekł.

— Tóž sobie zapalcie cygaro!

— Pónboczek zapłać, rechoreczku. Zakurzę se go, bo to w taki izbie bardziej pasuje cygar kurzyć. Ale powiedzą mi, panie rehtoreczku, co też to oni za głupstwo zrobili. Przeboczają, żech to tak wymamlał, ale sie mi zdo i wszyckim w dziedzinie, że straszecznie źle zrobili.

— Cóż to właściwie tak złego zrobiłem?

— Na że podziękowali z posady i zaś sie chcą kansik tułać po świecie. Cóż im też napadło?

— Mój kochany — rzekł nauczyciel, kładąc staremu rękę na ramię. — Źle mi tu u was nie było. Mogę powiedzieć, że ludek tutaj nadzwyczaj pocziwy. Myślałem sam, że już tu pozostanę, założę sobie w tej zacisznej, miłej i uroczej wioseczce ognisko domowe, lecz stało się inaczej. Zrezygnowałem z posady dla powodów, których ani wam, ani żadnemu wyznać nie mogę. Stało się. Jutro odwieziecie mię z całym moim kramem na nową posadę. Daleko, oj daleko tu stąd.

— Prowde prawią, że ten ludek tu nie najgorszy — zawyrokował Gaszczyk. — A że sie trefi bai taki Herniok, no to za jednego wszycy ni możemy. Ale Herniok wylecioł už z urzędu gminnego a bezmali mu będą cały grunt licytować. Tak to przyszeł chłop do biedy ze swoim pijaństwem i wiecznemi sądami. Ludzie ich bardzo mieli radzi, taki Sikora lebo fojt ni mogą sie ich nalutować. A nejbardży, to sie už pon adjunkt ze żoną smućą.

— Wspomnieliście o adjunkcie — rzekł nauczyciel. — Prawda, jak oni oboje są szczęśliwi?

— Nale pytają sie — uderzył się Gaszczyk po kolanie. — Dyc sie wiecznie smykają we dwoje

po lasach. A on to sie už tak libeźnie ku ni mo, aż hruza. Wykłodali ludzie, że ona tam bardzo za nim nie była, że ją bardziej ojcowie do tego namówili. Ale nie wiem, czy to prawda. Musi go też mieć rada, gdyż mi matka adjunkta wy-rządzała, jako je przyjemno do niego.

— Tak wam rzeczywiście mówiła?

— No, jako im mówię. Wiedzą, to z tą mi-łością jest tako przegrzeszono wiec. Moja staro Zuza też mie nie chciała. Eszcze, jakech już przy-jechoł po nie do ślubu, to sie skryła w owsie i musielichmy ją na gwołt do kościoła smyczyć. A wierzą mi, że mie potem bardzo miała rada. Żyjemy dobrze, a familije tela narosło, aż strach. Poczkają, że i u adjunkta tak bee z latami. Ale przeboczą, żech sie tak zafuloł. Chciołech im jeno powiedzieć, żeby byli kole dziesiątej jutro dopołudnia gotowi, bo o tym czasie przyjadę z wozem.

— Jestem prawie już spakowany — odrzekł nauczyciel. — Możecie nawet wcześniej przyje-chać. Po południu odwiedzę po raz ostatni wszyst-kich moich przyjaciół i znajomych we wsi, by się z nimi pożegnać.

— Ja, ja, rozumiem — kiwnął głową Gasz-czyk. — Tak zostaną teraz z Ponbóczkiem.

Po południu wybrał się nauczyciel nasam-przód do wójta. Załatwił z nim ostatnie formal-ności urzędowe co do oddania inwentarza szkol-nego, a potem jeszcze długo siedział z wójtem i jego żoną w gościnnym pokoju.

Następnie odwiedził Sikorę, księdza probosz-cza, wydziałowych, a wkońcu wybrał się do ad-junkta. Zastał przyjaciela w domu jak właśnie wypłacał robotnikom leśnym płacę miesięczną. Poprowadził go zaraz do izby, usadowił na ka-napce i jał odrazu cuda śpiewać o swej żonce i szczęściu domowem. Pokój, wykwintnie ume-blowany, jaśniał w promieniach słonecznych. By-

ło w nim widno, wesoło i wygodnie. Po chwili weszła adjunktowa. Przywitała uprzejmie gościa. Ten popatrzał uważnie w jej oczy i zobaczył, że było z nich szczęście i zadowolenie z życia.

Oprowadzili go po całym swym obejściu. Urządzone było prawie tak, jak kiedyś Karól przed weselem marzył. Wszystko schludne, miłe i przyjemne. Hela pokazała gościowi z pewną dumą swój dobytek: dwie krówki, cielę, owcę i drób, przechadzający się hałaśliwie po podwórzu. Był i paw, paradujący pysznie przed leśniczówką. W ogrodzie altanka, bżem otoczona. Opodal ule pod lipami, które właśnie zakwitwały. Odurzający zapach roznosił się wokoło, a całe chmary pszczołek brzęczały w rozłożystych gałęziach. Pod lipą była ławeczka, na której zasiadli przyjaciele, podczas gdy Hela poszła zwinnym krokiem do domu, by wraz z matką zakrzętać się około podwieczorka.

— Więc, jak widzę, osiągnęłeś szczęście, o którym zawsze marzyłeś — zagadnął nauczyciel adjunkta.

— Osiągnęłam w całej pełni — odparł adjunkt, patrząc zachwyconem okiem w kwiecistą lipę. — Niekiedy mi się wydaje, że to sen i obawiam się bardzo, ażebym się z tego snu słodkiego nie przebudził.

Jakiś czas milczeli, każdy swemi myślami zajęty. Wsłuchiwali się tylko w cichy, harmonijny brzęk pszczoł, wlepiając wzrok w zieloną okolicę leśną. Z domu dolatywały niekiedy słowa matki lub srebrny głosik Heli.

— Powiedz mi, drogi Wiktorze — zwrócił się adjunkt do nauczyciela — co cię właściwie spowodowało, żeś zrezygnował z posady?

Wiktor nie odpowiedział natychmiast, tylko jakiś bolesny uśmiech przemknął mu się przez usta.

— Co mię spowodowało? — odpowiedział. —

A to już, widzisz, we mnie taka krew niespokojna, że nigdzie nie mogę ponad rok wytrzymać.

— Wątpię, mój drogi, czy ci się nadarzy kiedykolwiek taka posada samoistna jak tutaj. Pocóż więc nie siedzisz na miejscu? Nie masz pojęcia, jak mi tęskno będzie bez ciebie.

— Masz młodą, śliczną żonkę, nie może ci się nudzić.

— O nudzeniu mowy nie ma, ale byłoby to wielkiem szczęściem dla nas obojga, gdybyśmy mieli w pobliżu tak drogiego przyjaciela i powiernika. Moja żona również tak sądzi.

— Również tak sądzi! — powtórzył bezwiednie. — No, marne biadanie, przenosim się i basta. Zmienić już tego nie można. — Ale powiedz mi, tak szczerze i otwarcie, czy twoja Hela czuje się naprawdę u ciebie w tej samotnej leśniczówce tak szczęśliwą, jak twierdzą ludzie i jej rodzice?

— Jestem przekonany że tak — odparł. — Z początku to często popłakiwała po kątach, nieraz spędzała nocy bezsenne. Nie chciała mi wyznać powodów swego smutku, ja jej też bardzo pytaniami nie napastowałem, bom utrzymywał, że to chwilowa tęsknica po domu. Po kilku tygodniach się uspokoiła, stała się żywszą i weselszą, a w końcu przyłgnęła do mnie jak bluszcz do płotu. Nauczyciel kiwał głową, patrząc zamyślony gdzieś w bezgraniczną dal przed siebie. Musiało tak być, jako mu Karol opowiada, widzi on to sam po Heli. Już się uspokoiła, ustatkowała, a jej czułe serduszko, odepchnięte od niego, przyłgnęło do Karola. Nie mogło być inaczej, przewidywał on to sam. Bo też trudno byłoby się Heli oprzeć Karolowi.

Jej serce się ustatkowało, ale jego nie, o nie! Ale niechże się już tak stało. Przynajmniej Hela z Karolem są szczęśliwi, przynajmniej oni. A niechże już tam! Stało się i basta! — — —

Jedzie fura ze wsi, chwieje się na boki. Na samym wierzchu, w sianie, siedzi sobie wygodnie fortepian. Niekiedy otwiera zlekka wieko i wyszczerza zębska-klawisze, jakby z uciechy, że znów wędruje w świat. Chyba czuje do tej wiecznej tułaczki tę samą skłonność, co jego właściciel, który siedzi na przednim siedzisku obok Gaszczyka.

Na polach rozpoczęły się na dobrze żniwa. Chłopi, w długich rzędach ustawieni, rozmachują błyszczącymi kosami. Kładzie się złote zboże z cichym chrzęstem na ziemię, brzęczą kosy, ćwierkają koniki polne w trawach, dzwonią sennie trzmielce i pszczołki nad kwiecistymi łąkami, zewsząd dolatują wesołe okrzyki, śmiechy i nawoływania żniwiarzy.

— Hej ludzie — krzyczy ktoś. — Zaś hanej stary Gaszczyk jedzie z tym rektorowym zazraniem po drodze. Bezmali, że się to rektor przekłuzdo!

— Okurat! — Przystanęli w robocie i poczęli się gapić.

— Joch se przeca myślał, że už ten rektor tu w dziedzinie zostanie, a teraz się zaś smyczy kansik w świat. To ci kolera! Ale szkoda go, był to skłodany człowiek — tak mówił sprawa folwarczny.

— Na dyc tu mógł być, zoden go nie wyganio — ozwała się Mokryszka. — Cóż go tak poli dobry byt? Kto wie, jesi sie tam kaj indzi bee mioł lepi.

— Dziwne to jednak je, że tu z tela zdyrzo — medytowali.

— A bo mu bezmali taki Herniok pore razy dogryz, tóż się rozniewoł i ucieko z dziedziny.

— A coby tam Herniok! — zaprzeczali inni. — Takich Hernioków bee mioł i indzi. Dość ich po świecie łazynguje. Musiało go tam cosik inszego ugryźć.

— Jo wiem co — przyłożyła Marekwicula dyskretnie palec do ust — ale nie powiem.

— Jak wiecie, to mówcie!

— Nic babsko nie wie; dyby co miarkowała, downoby już to cało dziedzina wiedziała.

— Wiem, ale nie powiem, bo potem mówicie, że plotki rozsiewom.

— Psińco wiecie!

— Jak to psińco? Chcioł Sikorową Hele, ale mu hadyjónk wloz do kapusty. To go zere i ucieko!

— A skąd to możecie wiedzieć?

— Skąd? Bo co je w dziedzinie, to jo wszystko wiem, kaj, jak i co.

— Boże pomogej! — pozdrowił Gaszczyk.

— Dej Panie Boże! A szczęśliwą podróż panie rehtór!

— Dziękuję, dziękuję. A miejcie się dobrze!

— Oni też tam. A przydą sie zaś kiej na nas podziwać, nie zapomną o nas.

— No, no!

— Wjo bramki! Cihi!

Już był za ostatnią chałupą. Nauczyciel spoglądał wciąż jeszcze za siebie. Wioska leżała na wzgórzu, mieniać się i drgając w blasku lipcowego słońca, dachy chałup były ukryte w gęste sady, wyglądały tylko kominy ponad czuby drzew, po pastwiskach za wioską przechadzało się leniwie bydelko, kilka jałówek spoczywało przy źródle, pasterze, jęgo byli uczniowie, siedzieli grupami na trawie, nucąc piosenki, których ich wyuczył i które może długie lata po pastwiskach i chałupach nucić będą. Za wioską zieleniał się bór, a w jednym miejscu błyszczał ponad kraniec lasu dach leśniczówki. Niedaleko cmentarza, otoczona lipami, stała szkoła na Pustkowiui. Za bozem roztaczały Beskidy szeroką, lśniącą, jasno-lazurową wstęgę wzdłuż widnokręgu. Na niebie paliło się słońce w białych żarach.

— Wjo se, bramki, wjo! — przymawiał Gaszczyk koniom. — Ep, panie rehtór, jagech ich łońskiego roku do dziedziny wiózł, było mi wiəsielszy. Że też to tak od nas uciekają. Dyc już tu mogli zostać.

— Stało sie, Gaszczyku! — odpowiedział nauczyciel, machnąwszy desperacko ręką. — Stało się i basta.

— Jo wiem, że sie stało, jeny sie nie potrzebowowało stać. Ale któż to hanej jedzie ku nom na wózku? Aha, dyc to je fojt, wraco z miasta. Na przodku kuczeruje Janek, a stary siedzi, z kimż też to siedzi, — nale ni — z Ewką siedzi i tak milutko se z nią mówi. Heta bramki.

— Cihi se! — woła Janek z przeciwnej strony.

— Cóż to? — woła z tyłu wójt. — Rychtyk pon rehtór już jedzie z furą. Pieknie witom, panie rehtór!

— Dziękuję. A skądże to Bóg prowadzi?

— Skąd? Na oto jademy z miasta.

— A czy był jaki targ?

— Ale ba. Miołech sprawe w becyrku.

— Czy sie z kim sądzicie? — badał Gaszczyk.

— Mocie rozum! — zaśmiał sie wójt. — Czych jo Herniok, żebych sie po sądach lebo alwokatach smykół? Bylech u notara.

— Ho, ho, u notara! — ździwił się Gaszczyk. — Czy skłodocie jaki piniądze lebo co?

— Ap, synku — machnął wójt ręką. — Na oto dołech kup na syna przepisać. Odstąpię mu grunt, a jo sie ze starą uchylę na wymowe.

— Na wymowe!

— A toć na wymowe, dyc już mom swoi rōki. Trzeja młodym robić miejsce, bo sie to ciśnie.

— A czy sie Janek bee żenił?

— Jużci że sie bee żenił.

— Z kim?

— Z kim? Pytejcie sie! Uparli sie oto ci dwo — pokazał na Ewkę i Janka — no i człowiek

musioł gizdom ustąpić. A niech sie utopia, marchy — zaśmiał się dobrodusznie.

— No jedźmy! Trza sie nom jeszcze do Bachraka stawić. Hi, bramki, heta se!

— Z Bogiem!

— Z Bogiem! Mają sie dobrze, a na wiesieli Janka isto przyda.

— Kiedy to będzie?

— W przyszły mięsopust. Trzeja jeszcze leca co porychtować i wymowe urządzić. Z Bogiem jeszcze roz, niech ich tam Ponbóczek strzeże!

— Wjo! — zaciął Gaszczyk konie. — Tóż sie wszycko żeni. Adjónkt ze wzion Sikorową, fojtów biere Pagielcze, Herzyk zamyśło kole Maryny Moczalowej, Frankowi z Bulandrowa już wyszły ogłoszki, jeny oni, panie rehtór, sie jeszcze nie kopnęli do żodnej.

— Stało sie, Gaszczyku!

— Co się stało? Nic się nie stało, tela co zdezyli z dziedziny. Hop, bramki! Są my teraz na ostatnim kopcu. Tak sie jeszcze roz podziwiają na te dziedziny, bo jeszcze kasek, a už nic nie uwidzą.

Przystanęli. Nauczyciel rzucił ostatnie spojrzenie na wieś. Rozpościerała się tam, daleko w sinej, drżącej mgle, ledwo można było rozeznac domki.

— A hanej z kumina, jako widać ten dach adjónkta nad lasem, kurzy sie prościutko ku niebu. Pewnie bee Hela Sikorowa, bajić to już adjónkowa warzyć obiod dlo panoczka. Widzą, jak to je dobrze mieć szykowną babeczke w chałupie!

— Jedźmy, jedźmy! — rzekł nauczyciel niecierpliwie.

— A cóż im tak gorąco? Dyc sie jeszcze podziwiają!

— Jedźcie, dostaniecie piwa u Bachraka.

— A to co inszygo! Wjo bramki, hip!

* * *

Szkoła na Pustkowie stała próżna, opuszczona. Wszystkie okna szeroko rozwarte. Z drogi widać puste izby, a tylko słońko malowało na ogłocionych ścianach złote, wibrujące czworoboki. W rogu stał piec, dawno ostygły, zimny, a po jego kafkach igrały promyki słońca. Na podłodze rozrzucone kartki, stare widokówki i śmiecie. W kącie stara miotła.

Tylko w klasie było jak zawsze: Mapy, obrazki i modele na ścianach, czarne tablice na sztalugach, w kącie obok szaf maszyna rachunkowa, ławki w rzędach, a na katedrze stół z krzesłem. Na stole leżała stara, zaproszona kronika szkolna. Od wczoraj były w niej dwie nowe kartki zapisane, obecnie czekają następne próżne stronicie nowego autora. Wypełnią się i one, ale dużo czasu upłynie, nim się cała zapisze, bo jest gruba. Ale się zapisze, bo czas uchodzi, autorowie będą się zmieniali, jeden opuści placówkę a drugi ją zajmie, jeden usunie się ze zbolałą i znękaną duszą, a drugi, pełen nadziei i dobrej wiary go zastąpi, a każdy wpisze coś do kroniki, i każda karta odzwierciedlać będzie życie autora, stosunki, w jakich żył, walczył, ulegał albo zwyciężał.

